**Nr. 40 (1084). Warszawa, dnia 22 Września (5 Października) 1901 r. Rok XXI.**

# PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### ZŁUDZENIA.

Groźny dzień, fataliów — 15 września, dla ludności obu rzeczypospolitych, zburzonych przez Anglików, minął bez grozy. Boerowie nie myślą się poddawać, a Anglicy wstrzymują zajmowanie osad, należących do uczestników zbrojnej obrony narodowej i wypędzanie z nich całych rodzin boerskich — do nowej odezwy Kitchenera. Proklamacya wydana na początku sierpnia wydaje się im zbyt łagodną. Była w niej prócz powyższej srogości jeszcze jedna: wieczne wygnanie z Afryki południowej całych rodów, najdalszego potomstwa ludzi walczących dziś za wolność; obie jednak nie wystarczają jeszcze narodowi, kroczącemu nietylko na czele cywilizacyi, ale i w przedniej straży politycznego rozwoju pojęć prawnych i stosunków rzeczywistych prawa politycznego w ludzkości. Wygnanie na wieki, wypędzenie tych, którzy nic jeszcze zawinić nie mogli, którzy nawet jeszcze nie istnieją, nie odpowiada już interesom, żądzom i pojęciom wielkiej, może przeważnej już, kupy rozumów w tym narodzie, który nietylko myśleć i rozumować, ale i toporem w dziejach swoich władać umiał. Umysły w obozie politycznym, mającym Chamberlaina za symbol, łapczywie chwytają się tradycyi Dwu Róż, wojny domowej z XVII w., straszliwych wypraw Cromwella do Irlandyi i straszliwszych może jeszcze praw prześladowczych Wilhelma i Maryi: uśmiecha się im krew. Zamiast wygnania—tracenie na miejscu.

W tym kierunku rozwijają obecnie logikę swoją, rozum stanu i patryotyzm ludzie z Chamberlainem idący jak jeden mąż. Salisbury i Brodrick, minister wojny, cywilny, opierają się natarczywości, nie ze wstrętu, ale z pewnego wstydu cywilizacyjnego. Imperyaliści pragną panowanie Anglii rozpościerać nietylko kolonizacyą i cywilizacyą, ale i tymi prostymi niezmiernie środkami, jakimi rozporządzała Anglia zawsze i wszędzie—siła fizyczna, gwałt. Stary ten poczciwy architekt dziejowy walczy teraz w Londynie o przewagę nad wstydliwym rozumem stanu, spędza z oblicza jego rumieńce cywilizacyjne, tłomacząc, że mu z nimi jakoś nie do twarzy, nieszczerzo, nielogicznie i głupio. Prawdziwy wstyd wymagał uszanowania udzielności obu państewek boerskich; ale z chwilą, kiedy postanowiono je zburzyć, wstydy wszelakie i rumieńce i odprzysięganie się i zaklinanie na ludzkość mogą mieć takie tylko znaczenie, jak modlitwa dyabła średniowiecznego, odprawiającego mszę czarną. Taka argumentacya Chamberlaina i jego watahy nie jest pozbawiona logiki, ma też i wielki urok większej skuteczności praktycznej. W polityce, jak we wszelkiem działaniu, potrzeba całych środków. Polityka unicestwienia w wygnaniu może mieć tylko półśrodek; całym, całkowitym jest dopiero wielka dobrodziejka ludzkości, potężna przyjaciółka siły — śmierć. Ten, kto drwić będzie z wygnania, zadrży przed toporem, stryczkiem lub kulą: trzeba je tedy uruchomić. Tego właśnie chciał Kitchener przed odezwą swoją sierpniową, tego chcą teraz imperyaliści Chamberlaina.

Namysły gabinetu angielskiego trwają jeszcze, ale w jak największej skrytości, a wskazówką pewnego ich momentu nieprzyjaznego owej całośrodkowości jest nieporozumienie z Kitchenerem, podanie się jego do dymisyi, nawet przyjęcie jej już w zasadzie, są też i nieporozumienia pomiędzy samymi ministrami. Półrzędowe kłamstwa, osłaniające prawdę, nie zdołają jej zetrzeć. Może nie przyjdzie ani do postawienia na stepach transwalskich olbrzymiego kata z narzędziami śmierci, ani do dymisyi Kitchenera, ani do żadnej zgoła zmiany zasadniczego tonu; ale ten niebyt wyników, nie będzie dowodem niebytu samych usiłowań. Ważyła się i waży jeszcze w gabinecie angielskim sprawa owych całkowitych, absolutnie już do celu doprowadzić mających środków. Groza śmierci, sama w sobie dzielna, spotęgowałaby owe środki łagodniejsze, bynajmniej ich nie usuwając. Rodziny boerów wyganianoby z osad, osady zabieranoby na skarb, uczucie sprawiedliwości i żądza opiekuńcza dochody z nich obracałyby na utrzymanie rodzin straconych; państwo zrzec-by się tylko musiało przyjemności wypędzania na wieki, a jest to przyjemność wielka, tak wielka, że staje się już pożytkiem walczącym o pierwszeństwo z zabijaniem doraźnem, fizycznem. Wyrzucenie najszlachetniejszych przyśpieszy poddanie się wszystkich, moralne, a nietylko fizyczne, wskutek niemocy, zużycia i energii, wytoczenia krwi i wprost ponad siłą natury ludzkiej sięgających wysiłków. Strona przeciwna Kitchenerowi, niezawodnie i tego argumentu używać musiała, a wspierała się jeszcze innym: z okrucieństwa śmierci wytwarza się męczeństwo, z męczeństwa siła moralna, z siły opór, z oporu życie wewnętrzne, którego zdławienie jest właśnie celem, treścią, istotą podboju.

W takich zamysłach, w takim rachunku prawdopodobieństwa, tkwi w obecnej chwili rzetelna zagadka najbliższej przyszłości Transwaalu i Oranii: Czy Anglicy rozstrzeliwać będą każdego schwytanego z bronią w ręku, a wybitnego Boera; czy też poprzestaną na zwykłych środkach,

jakie daje według zwyczajów przemoc w boju z wojskiem za wojsko uznanem? Nowe rozpalenie się walki z początkiem teraz na południu Afryki nastałego lata, nowa dzielność bojowa Dewetów, Bothów, Kruitzingerów, nowe wdzieranie się do Natalu—jakże lekkomyślnie opuszczonego po klęsce z lutego 1900 r...!—wreszcie zaskoczenie, wybicie i schwytanie dwu oddziałów angielskich, wykolejenie dwu czy trzech pociągów — a wszystko to odpłacone, choć może niezupełnie, przez powodzenia znowu angielskie — niema znaczenia dla przyszłości. Jeszcze mniej mają donioślości nadzieje streszczające się w doniesieniach, że Krüger wysyła umyślnego do Roosevelta, że założył protest przeciwko proklamacyi Kitchenera, że zażądał rozpatrzenia sporu zbrojnego przez sąd w Hadze.

**Tydzień polityczny**. Wybory do sejmu węgierskiego, po rozwiązaniu go w d 6 b. m., zarumieniły się już krwią w Wielkim Warażdynie. Jest to tylko urozmaicenie niewątpliwego zgóry zwycięstwa wielkiego stronnictwa liberalnego, które trzęsie i Węgrami i narodowościami przez nie owładniętemi. W tym roku poruszyli się Serbowie i Sasi siedmiogrodzcy, ale nie słychać o jakimś poważniejszym ruchu Słowaków, których myśl państwowa węgierska pożera pięcioletnie dzieci, porywane do ochron, a stamtąd wrzucane w ukrop szkoły węgierskiej.

Gadulstwo dziennikarskie, nigdy ustać niezdolne, wymyśliło jakąś odezwę prezesa ministrów węgierskich, Szella do—rządu pruskiego, do kanclerza niemieckiego itp. — w sprawie wysokich ceł, zamierzonych w Niemczech. Jeżeli to nie ma być bajka, każdemu odrazu rzucająca się w oczy, może być tylko memoryał złożony hr. Gołuchowskiemu, który już z niego miał dawno czas skorzystać i według pogłosek dawniejszych rzeczywiście skorzystał — zapewne lękliwie, jak wobec potężnego przyjaciela wypada.

Nad cłami radzić mają aż do zagajenia sejmu najwybitniejsi mężowie ekonomiczni Niemiec. Dopiero po ich naradach i radach kanclerz i rada związkowa nadadzą projektowi, podnoszącemu cła głównie agrarne, ostateczną postać wniosku na sejm cesarstwa.

W Austryi ruch przedwyborczy czeski przywrócił do życia staroczechów, ale oderwał od ciała sejmowego narodowego większą własność, która porozumiała się z Niemcami. Wybory w październiku.

Między Marokkiem u Francyą stanęła w lecie umowa o sprostowanie granic. Teraz wspólna komisya ma ją wykonać na gruncie. Rzecz prosta, że prostowanie złączy się z zaborem i jest tylko jego przyzwoitą formą. Łatwo z takiego porozumienia rozpalić się może na nowo usposobienie wojenne.

Francya niezmiernie ostro obchodzi się z Turcyą: nawet młodzieży tureckiej wymówiła gościnność w szkołach, pełnomocnika wojskowego Turcyi nie dopuściła na wielkie manewry pod Reims i Betheny, pozbyła się posła Munira z Paryża, a swemu Pabstowi w Stambule nakazała rozerwać zgodę, którą osiągnęła była Porta sama z jednym z wierzycieli. Jednocześnie wychodzi na jaw umowa z miejscowym sułtanem nad zatoką perską, zawarta przez Anglię o port El Kueit. Turcya słusznie nie uznaje jej za ważną, nie uznają i Niemcy, które dla swej kolei mezopotamskiej potrzebują wyjścia na morze i spodziewały się uprzejmości angielskiej. Jednocześnie też w Armenii zaczynają się walki narodowe i rzezie tureckie. Wszystko to pachnie jakoś kwestyą wschodnią.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z NAD WARTY I ODRY.

W Grudziądzu odbył się w pierwszej połowie września zjazd hakatystów, poprzedzony posiedzeniem głównego zarządu „Towarzystwa kresów wschodnich.“ Na tem posiedzeniu, jak zwykle, uskarżano się na bezwzględne prześladowanie niemczyzny przez Polaków, stwierdzono jednak z zadowoleniem, że program „Towarzystwa“ coraz bardziej jest uwzględniany przez rząd pruski. Główne zadanie „Towarzystwa“ to „bezwzględne tępienie polskiej zuchwałości i polskiego oporu“ oraz wzmocnienie ludności niemieckiej na kresach wschodnich pod względem ekonomicznym. Tak sformułował program hakatystów Tiedemann — jeden z założycieli Towarzystwa hakatystowskiego. Ubolewał on nad tem, że pod względem ekonomicznym Towarzystwo nie mogło spełnić wszystkich, stawianych mu żądań. Większych zapomóg pieniężnych udzielało jedynie w wyjątkowych razach.

Ze sprawozdań, przedstawionych zjazdowi, widać, że Towarzystwo liczy obecnie w Niemczech przeszło 21,000 członków. Najwięcej jest ich w Prusach Zachodnich (4335), w Poznańskiem — 3963, na Śląsku 2800 i w Prusach Wschodnich 627. Dr. Vossberg, referując o stosunkach górno-śląskich, z zadowoleniem podnosił fakt, że do Towarzystwa należą tam i Niemcy-katolicy w liczbie około 1000. Chwalił też polskich księży na Górnym Śląsku, którzy za opłatą zwykłej należytości każą śpiewać w kościołach chorały niemieckie.

Na zjeździe występowano przeciwko tłomaczeniu polskich adresów na poczcie; żądając, ażeby poczta uwzględniała jedynie niemieckie adresy; zalecano politykę kolonizacyjną i w miastach; zastanawiano się nad środkami zmniejszenia emigracyi niemieckiej z zachodu itd. Jakiś profesor z Malborka, oświadczył, że Polacy powinni na kolanach dziękować Niemcom za błogosławieństwo kultury niemieckiej, a pewien gimnazista grudziądzki, przebrany za krzyżaka, wygłosił prolog, skomponowany przez innego profesora a tchnący krańcową nienawiścią dla Polaków.

W imieniu zjazdu wysłano telegramy — do cesarza, do hr. Bülowa i Gosslera. Z rozkazu cesarza podziękował jego sekretarz Lucanus. Bülow podziękował sam. A więc na punkcie zwalczania polskości jeszcze raz stwierdzono najzupełniejszą solidarność rządu z hakatystami.

Dążności hakatystyczne przenikają coraz bardziej inteligencyę niemiecką. Do niedawna sądy były jeszcze wolne od hakatyzmu, ale dziś i w tej dziedzinie hakatyzm panoszy się coraz bardziej. Uznaje to nawet organ niemieckiego stronnictwa ludowego, *Volkszeitung* berlińska, roztrząsając proces przeciwko gimnazistom w Toruniu, którego przebieg i wynik jest chyba już znany czytelnikom. Należy zaznaczyć, że oskarżona w Poznaniu młodzież trzymała się bardzo dobrze i robiła swem zachowywaniem się jaknajlepsze wrażenie. Widać, że w sferach młodzieży szkół średnich podnosi się poziom świadomości narodowej w takim samym stop-

---

2)

Bret Harte.

# Brat z Kalifornii.

Daddy chwycił za pióro, ale „robota“ poszła niezupełnie jak z płatka, mazał, kreślił, kręcił się i sapał.

— Coś w tym rodzaju — rzekł, kładąc pióro nareszcie.

„Kochany Jimie. Twój brat Dick skaleczył sobie rękę i prosi mię, żebym ci powiedział, że jest zdrów. Mówi, że nie zapomniał o tobie ani o Cesi, a pieniądze Rickettsowi posyła. Kazał wam jeszcze powiedzieć, żebyście się nie kłopotali o niego póki on żyje. Mówi, że byłby do was pisał, tylko wpadł na taką żyłę, która, jak się spodziewa, zrobi z niego bogacza.“

— Ty nie znasz dzieci—tłomaczył Daddy z miną niezachwianej pewności—z niemi trzeba postępować tak jak z chorymi. One lubią wszystko duże — to, co zwyczajnie im się niepodoba, choćby było jak najlepsze.—„A więc“ — czytał dalej, nie czekając odpowiedzi — „Dick mówi, żebyście się mieli w pogotowiu: uszy otwarte, oczy wytrzeszczone, bo on w każdej chwili przyjechać do was może—nie wie dnia ani godziny. Wy tylko bądźcie gotowi. Może w nocy wpadnie i z łóżek was wyciągnie; przyjedzie w cztery białe konie z murzynem woźnicą na koźle, lub przyjdzie w przebraniu zwykłego żebraka. Wy tylko czekajcie!“(—Tak widzisz trzeba—tłomaczył Houstonowi Daddy, im to właśnie zrobi przyjemność.)—„Kazał wam jeszcze powiedzieć, żeby Cesia nie płakała, a jeśli Willie Walker uderzy cię prawą pięścią, to żebyś mu zaraz oddał lewą, tak mówi Pismo Święte.“—Tam do licha—wykrzyknął, przerywając nagle czytanie i frasobliwie wpatrując się w Houston'a — a fotografiał zupełnie o niej zapomniałem!

— Dick nie miał nigdy fotografii — zauważył Houston;—to ci pech! i jakże teraz będzie?—Chyba poślemy im fotografię Boba—dodał po chwili namysłu.—Malcy nie pamiętają twarzy Dicka, Bob prawie w tym samym co on wieku, fotografia pyszności. — Kazał się zrobić w Sacramento, w najpiękniejszym swym rynsztunku. Popatrz tylko!— i pokazał tkwiącą na ścianie podobiznę Boba, która dawała dobre świadectwo powierzchowności młodego człowieka, przedstawiając w jaknajlepszem świetle jego długie, jedwabiste wąsy i duże piwne oczy, patrzące energicznie i stanowczo.—Włożymy w list. — Nikt nie zobaczy i nikt nie będzie wiedział—Bob nie spostrzeże — a jak Dick wyzdrowieje powiemy mu, to im wyjaśni.

Daddy w milczeniu uścisnął dłoń Houstona, który projekt swój wykonał natychmiast, nie zwracając niczyjej uwagi. Fotografię włożono do koperty i list zaadresowano. „Dziecko“ odniosło go na pocztę, a Daddy powrócił do Dicka, ażeby zluzować jednego z gości Fallonera, który podczas jego nieobecności czuwał przy łożu chorego.

Tymczasem deszcz padał i padał, ciemności coraz wyżej i szczelniej obejmowały górę. Około północy światełka do koła Szychty Sawyera, zaczęły gasnąć jedno po drugiem, lecz w miarę jak zmniejszał się blask bijący od okien mieszkania Fallonera, we wnętrzu chaty Lashama coraz jaśniej było. W jakiś czas potem ze środka osady pomknęły wzdłuż pochyłości duże smugi światła, płynące od karoty pocztowej, toczącej się po drodze do Sacramento i unoszącej z sobą Roberta Fallonera i — spotkały się ze słabszymi blaskami latarni wózka, nadjeżdżającego z przeciwnej strony. W wózku jechał doktór, wezwany pośpiesznie do umierającego Dicka Lashama.

* * *

Pociąg zwalniał biegu, kiedy Bob Falloner obudził się ze swej drzemki. Wyjrzał przez okno i zobaczył cały tor zawiany śniegiem, który już od sześciu godzin sypał bezprzestannie. Jak okiem sięgnąć było, stał się gładką, równą powłoką po-

niu, jak i wśród młodzieży uniwersyteckiej z Poznańskiego, która prawie do ostatnich czasów stanowiła żywioł, stojący bardzo nizko pod względem umysłowym i etycznym. Co prawda ewolucya ta odbywa się nader powolnie, ale można mieć nadzieję, że zwiększające się prześladowania polskości przyśpieszą ten procès.

Pomiędzy środkami kulturalnymi, za których pomocą ma być podźwignięta „uciśniona" przez Polaków niemczyzna na wschodnich kresach, jedno z pierwszych miejsc zajmuje, jak wiadomo, teatr. W ostatnich czasach germanizatorskie rady miejskie i zarządy fabryk na Górnym Śląsku podjęły inicyatywę co do obdarzenia i tej dzielnicy teatrem niemieckim. Teatr ma niemczyć robotników polskich w obwodzie przemysłowym. Kasa państwowa będzie płaciła 12,000 marek rocznej zapomogi, fabrykanci dopłacą 6 000 marek, a resztę — 17,500 marek wywybierze się jako opłatę za bilety. Jednym z pierwszych obiecał zapomogę hr. Ballestrem, poseł centrowy z okręgu Gliwicko-Lublinieckiego, ten sam, który wsławił się radą „bicia po pysku" agitatorów polskich na Śląsku.

Hakatyści, jak się zdaje, przywiązują wielkie znaczenie do przedsiębiorstw w rodzaju teatru niemieckiego dla robotników polskich. Są jednak i między nimi pesymiści, nazywający te usiłowania kulturalne „leczeniem zabójczej gorączki za pomocą limoniady." Oto np. autor świeżo wydanej w Lipsku broszury, dedykowanej „godnemu spadkobiercy wspaniałych idej wiekopomnego Bismarcka," Miquelowi, rozdziera szaty w rozpaczy nad płonnością wszelkich usiłowań germanizatorskich. Twierdzi on, że jeśli wszystko pójdzie dalej tak, jak dziś idzie, to żywioł niemiecki musi stanowczo wyginąć na wschodzie, jeśli nie po Elbę, to przynajmniej po Odrę. Robotnik niemiecki bowiem z konieczności musi ustępować przed nawałą „polskich barbarzyńców," zadawalających się mniejszemi wygodami i rozmnażających się szybciej wskutek niższego stopnia cywilizacyi. Środki, używane dotychczas przez rząd pruski w celu wzmocnienia niemczyzny na wschodzie, nie prowadzą do niczego. Komisya kolonizacyjna osiedla co rok kilkuset chłopów niemieckich, ale jednocześnie setki tysięcy robotników polskich odbierają Niemcom ostatni kęs chleba. Zakładanie fabryk i różnego rodzaju przedsiębiorstw na wschodzie autor broszury uważa za pomysł wprost fatalny. Pieniądz to wyrzucony przez okno, gdyż owe niemieckie fabryki na wschodzie przysporzą zarobku przeważnie polskim robotnikom, bez których przecież niepodobna się obejść. Cóż wobec tego ma czynić rząd niemiecki? Wrócić do dążności bismarkowskich — odpowiada autor broszury lipskiej i proponuje szereg środków, zwracających się swem ostrzem nietylko przeciw Polakom, ale również i przeciwko Niemcom. Oto np. należy wydać prawo, zmuszające Niemców do pozostawania w prowincyach wschodnich, a więc poprostu ograniczyć wolność przesiedlania się. Następnie trzeba bezwarunkowo zamknąć granicę dla robotników polskich z Królestwa, nie zważając na interesy niemieckiej posiadłości ziemskiej. Właścicieli tej ostatniej autor broszury pociesza sentencyą patryotyczną, że „lepiej jest, ażeby na wschodzie była niemiecka pustynia, aniżeli kraj polski." Rzecz bardzo wątpliwa, czy kto się da złapać na taką sentencyę.

Najbardziej martwi hakatystów niewątpliwie wzrastający dobrobyt Polaków, a zwłaszcza rozwój ich instytucyj finansowych. Bo też rzeczywiście dużo w ostatnich czasach na tem polu zrobiono. Na uwagę zwłaszcza zasługuje rozwój banków ludowych, tj. spółek opartych na systemie Schultzego z Delitsch, ulepszonym przez pruskie prawodawstwo spółkowe. Gromadzą one oszczędności wszystkich warstw i wypożyczają je swym członkom na bardzo dogodnych warunkach. Przed 30 laty było ich zaledwie kilka, dziś zaś tylko w Księstwie i Prusach zachodnich jest ich około 120, a oszczędności w nich złożone dochodzą do 46 milionów marek. Tworzą one bardzo sprawnie działający związek. Przed czterema laty założono pierwszy polski bank ludowy na Górnym Śląsku, w Bytomiu. Ten obecnie rozporządza już pięcioma milionami oszczędności chłopskich i robotniczych. Za przykładem bytomskiego założono jeszcze parę banków ludowych na Górnym Śląsku, a dziś suma ich depozytów dosięga 11 mil. marek. Ma się rozumieć, że znaczna część ludności polskiej składa jeszcze swe oszczędności w niemieckich instytucyach finansowych, nie wyłączając hakatystowskich. Prasa polska korzysta z obecnych krachów bankowych w Niemczech i agituje za przenoszeniem oszczędności polskich do takich instytucyj, jak Bank przemysłowców, Bank związków spółek zarobkowych, Bank ziemski, Parcelacyjna spółka rolników itd. oraz polskie spółki spożywcze, jakich dość dużo jest nawet po mniejszych miastach Poznańskiego i Prus zachodnich. Wobec popłochu, wywołanego przez liczne bankructwa i oszustwa w bankach niemieckich, wycofywanie z nich oszczędności polskich jest zupełnie prawdopodobne. W ten sposób i tu, na polu finansowem, żywioł polski odosabnia się coraz bardziej od niemieckiego.

To ograniczanie się na wszelkich polach od Niemców, do niedawna nieistniejące wcale, wpływa dodatnio na utrwalenie się żywiołu polskiego i osłabienie wpływów germanizacyi. Obecnie już dziecko polskie w szkole musi unikać ściślejszych stosunków z Niemcami, bo to grozi mu denuncyacyą za odezwanie się po polsku itd. W gimnazyach panują dziś stosunki wrogie pomiędzy uczniami-Polakami a Niemcami. Fakt charakterystyczny, że niemieccy gimnazyaliści w Poznaniu, uczniowie ósmej klasy, oświadczyli władzy szkolnej, że nie będą siedzieli na jednej ławce z kolegami-Polakami, skazanymi w procesie toruńskim.

Ze względu na udział w procesie toruńskim kleryków w charakterze oskarżonych i skazanych, prasa poznańska zajmuje się stosunkiem wyższego duchowieństwa niemieckiego do młodych wychowańców seminaryów duchownych, zwłaszcza na Górnym Śląsku. W wyższych sferach duchownych dyecezyi wrocławskiej panuje duch antypolski, dzięki hakatystycznie usposobionemu kardynałowi Koppowi. Jaki wpływ wywiera polityka na duchowieństwo śląskie, widać między innemi z przemowy kanonika Heubiga do kleryków wrocławskich przed ich wyjazdem na ferye wielkanocne.

Ksiądz Heubig radził swym wychowańcom, ażeby nie brali udziału w żadnych zebraniach polskich, ponieważ kardynał nie życzy sobie mieszania się duchowieństwa do ruchu polskiego. Jemu bowiem katolicy niemieccy mają do zawdzięczenia, że w Niemczech panują znośne dla nich stosunki, ponieważ on to doprowadził do porozumienia między stolicą apostolską a rządem niemieckim. Aby zachować spo-

---

nad którą, wirując, unosiły się białe płatki śnieżnej zawiei i sterczały nagie konary drzew, ciągnących się długim szeregiem ponad brzegiem Missouri. Widok ten wywarł niemiłe wrażenie na Fallonerze, wychowańcu gór, a choć upłynęło zaledwie sześć tygodni od dnia jego wyjazdu z Kalifornii, zaczynał już tęsknić do górzystych, gęsto jodłami pokrytych jej stron.

Mróz wystudził mu krew w żyłach, tak jak surowa konwencyonalność życia na Wschodzie skrępowała szczerość, stłumiła objawy naturalnej wesołości, do których przywykł w swobodnych, braterskich stosunkach życia obozowego. Uciekał więc na Zachód, ażeby zdala od wielkich miast nadatlantyckich, w pracy na jakiejś fermie znaleźć ujście dla swej energii i pomieszczenie dla swego kapitału. Ta niespodziewana przeszkoda w dalszej podróży do reszty popsuła mu humor. Bo, ot, pociąg zaczynał się cofać—więc będą musieli powrócić do ostatniej stacyi i czekać, aż tor ze śniegu zostanie oczyszczony. Stacya, jak objaśnił konduktor, była odległą tylko o małą milkę *) od Shepherdstown, gdzie w porządnym hotelu można było znaleźć przyzwoity nocleg.

Shepherdstown! Ta nazwa obudziła jakieś niejasne wspomnienie w pamięci i w sumieniu Fallonera. I nagle przypomniał sobie, że przed samym wyjazdem z Nowego-Yorku odebrał list od Houstona z wiadomością o śmierci Lashama i prośbą, ażeby przy sposobności, jeśli będzie w tamtych stronach, doniósł o tem jego rodzinie. W liście była też mowa o jakimś figlu z jego, tj. Boba fotografią, nad czem jako nad drobnostką nie zastanawiał się bardzo, a teraz nawet dobrze już nie pamiętał, o co chodziło. Na chwilę zrobiło mu się nieprzyjemnie, że tak o tem wszystkiem zapomniał, więc był prawie rad opóźnieniu podróży, które mu pozwalało niedbalstwo pamięci naprawić. Lecz to, co go czekało, nie było miłem do spełnienia. W każdym innym razie byłby wolał załatwić rzecz piśmiennie, czuł jednak dobrze, że się teraz nie mógł cofnąć.

Shepherdstown leżało w Kansas, przy głównej linii kolei Oceanu Spokojnego. Kiedy wysiadł na stacyi, z przeciwnej strony od San Francisco nadbiegł duży pociąg i stanął także. W tłumie podróżnych, zalegających platformę, usłyszał wówczas głos dziecka, pytający czy to jest pociąg z Kalifornii i dobrotliwie trochę zartobliwym tonem daną odpowiedź: „Tak, synku, to on sam, a to są jego podróżni." Zabrawszy miejsce w omnibusie, rozmyślał nad sposobem spełnienia swego zadania i postanowił uczynić to jak najprędzej.

Po drodze do numeru wstąpił na chwilę do biura, ażeby spytać o adres Rickettsa. Urzędnik, objąwszy go bystrem i ciekawem spojrzeniem, udzielił mu go natychmiast z uprzejmym uśmiechem. Fallonerowi wydało się dziwnem, że nie spytał go o nazwisko i nie zapisał w księdze hotelowej, ale ponieważ przez to zyskiwał na czasie, więc nie miał zamiaru gniewać się, lecz tylko zjeść obiad jak najprędzej i pójść do Rickettsa. Nie było jeszcze bardzo późno.

Wszedł do sypialni, ażeby umyć ręce, gdy do drzwi saloniku ktoś lekko zapukał. Falloner wdział szybko tużurek i wrócił do pokoju. Poprzedzona przez służącego weszła młoda panna, prowadząc za rękę małego chłopca. Skoro tylko drzwi zamknęły się za sługą, chłopiec, spojrzawszy błagalnie na swą towarzyszkę, wyrwał się z jej ręki i z okrzykiem: Dick! Dick! rzucił się na szyję Fallonera.

Ten nagły i niespodziewany wybuch tak oszołomił Boba, że na razie nie umiał się zdobyć na słowo. Tymczasem chłopczyna obejmował go rękami, a nie mogąc dostać do twarzy, ściskał i całował po kamizelce; aż wreszcie udało się Fallonerowi łagodnie choć stanowczo wyswobodzić z objęć dziecka. Zakłopotany, z wyrazem niemej prośby, zwrócił się do młodej osoby, której twarz nagle pokryła się rumieńcem; gdy chłopiec, pod wpływem instynktowego odczucia pobiegł do niej i, kryjąc głowę w jej sukni, wołał z płaczem:

— On mnie nie kocha! On nie dba o mnie!

*) Angielska.

kój, kardynał wymaga od każdego kleryka i księdza bezwzględnego posłuszeństwa nietylko w sprawach kościelnych, ale i świeckich. Wielu jest między księżmi zdolnych ludzi, którzy właśnie dla przyjaznego usposobienia względem sprawy polskiej nie mogą nigdy pozyskać wyższych stanowisk w hierarchii kościelnej. Dlatego ks. Heubig radzi, aby nikt nie odważył się krzyżować planów księdza kardynała. Obecnie brak jeszcze księży w dyecezyi wrocławskiej, dlatego wyświęca się ludzi, o których wiadomo, że są zdecydowanymi Polakami. Po dwóch, mniej więcej, latach brakowi temu się zapobiegnie i wówczas ksiądz kardynał i jego pomocnicy w wychowaniu młodego duchowieństwa nie dopuszczą do święceń kapłańskich kleryków, którzy nie przyrzekną, że zastosują się do rozkazów swego księcia-biskupa pod każdym względem.

*Goniec Wielkopolski* podaje ciekawą statystykę kleru górnośląskiego. Z 400 księży, pracujących w swoim zawodzie na Górnym Śląsku, 25 (6%) jest Polaków zdecydowanych, 35 (8—9%) patryotów śląskich, niepoczuwających się do łączności z całością narodu polskiego, cała zaś reszta — to otwarci lub ukryci germanizatorowie. A więc 85% duchowieństwa katolickiego na Górnym Śląsku uprawia germanizacyę!

Najenergiczniej zwalczają polskość księża na tłustych probostwach w okręgu przemysłowym, przynoszących po 30—40 tys. m. rocznego dochodu. Otrzymali oni te posady jako nagrodę za wysługiwanie się interesom rządu, to też, nie chcąc stracić względów czynników decydujących, rozwijają działalność germanizatorską na szeroką skalę. Dotrzymują im towarzystwa księża-karyerowicze, nie mający jeszcze tłustych probostw, ale dążący do ich otrzymania za pomocą wysługiwania się rządowi. Księża, nazwani przez *Goniec Wielkopolski* „patryotami śląskimi,“ stanowią coraz bardziej uszczuplającą się garstkę starszych wiekiem kapłanów, którzy pragnęliby zachowania języka polskiego ludowi śląskiemu, ale sami kulturalnie są Niemcami i mówią po polsku jedynie z ludem. Młode pokolenie jest świadomie polskiem, ale otwarcie germanizatorskiem ze względu na karyerę. Wśród księży są germanizatorzy brutalni i „łagodni.“ Ci ostatni, naturalnie stanowią większe niebezpieczeństwo dla mało jeszcze uświadomionej pod względem narodowym części ludności górno-śląskiej.

Ta część Niemców, którzy wiedzą dobrze, że brutalne środki germanizacyi wzmagają oporność Polaków, radzą rządowi używać jedynie *łagodnych*. Świeżo *Schlesische Volkszeitung* (organ centrowców), skarciła rząd pruski za zbyt natarczywe wykorzenianie języka polskiego i proponowała mu dążyć do zniemczenia Polaków powoli i stopniowo.

*Pośrednik.*

## LISTY PETERSBURSKIE.

Powrót z Syberyi. — Pożary jako klęska społeczna. — Walka. — Szachowolce — Nauczyciele wędrowni.

Zwykle Syberya jest przedstawiana wychodźcom jako kraina mlekiem i miodem płynąca. Za pomocą ponętnych obrazów i w Królestwie Polskiem naganiacze usiłowali zachęcić lud do wychodźtwa za Ural. W rzeczywistości atoli obraz stosunków jest zupełnie inny. Jak wiadomo, istnieje komisya osobna, stworzona właśnie wskutek dotkliwych zawodów, doznawanych przez emigrantów. Zadaniem jej jest przygotowywać odpowiednie grunty dla osiedleńców. Jest to praca nadzwyczaj złożona, która jednakże nie może zapewnić znośnych warunków wszystkim emigrantom. Kto więc idzie za Ural na oślep, ten oczywiście naraża się na nędzę, głód i włóczęgostwo. Przytem zadaniem komisyi jest opieka prawie wyłącznie nad przesiedleńcami z gubernij wewnętrznych. Dlatego też wychodźtwo ludu z korytoryów nieobjętych przez tę instytucyę jest stanowczo zgubne; obarcza ono bowiem nędzarzami społeczeństwo i sferom rządzącym przysparza kłopotu.

Jako wynik masowego wychodźtwa na oślep, jest tłumny powrót zawiedzionych. Gospodarze jeszcze niedawno dostatni wracają do stron rodzinnych jako zupełni nędzarze, bez żadnych środków do życia. Dla poszukiwaczy tanich sił roboczych takie zjawisko powinno być na rękę... Obecnie mamy nowe szczegóły masowego powrotu wychodźców zawiedzionych. *Rosya* zapewnia, że rok bieżący będzie bardzo pamiętny w dziejach emigracyi, nigdy bowiem ruch powrotny nie przybrał tak wielkich rozmiarów, jak obecnie. Dotąd powracający wychodźcy stanowili stosunkowo niewielki procent. W roku bieżącym jednak przybrał on znaczne rozmiary. Na 105 tysięcy osób płci obojej przybyłych na Syberyę, do 14 września wróciło już 38 tysięcy. Do przyczyn nadzwyczajnych, wywołujących to zjawisko, *Rosya* zalicza nieurodzaj w Syberyi zachodniej, która ucierpiała również i w przeszłym roku. To też emigranci, nawet posiadający pewne środki pieniężne, znaleźli się w wielkim kłopocie. Przed żniwami na wyznaczonych dla siebie gruntach musieli szukać chleba gotowego, którego wszakże od włościan sąsiednich niepodobna było dostać, gdyż i ci musieli kupować ten najniezbędniejszy środek do życia. Pracy odpowiedniej przesiedleńcy także znaleźć nie mogli. Ci szczęśliwi, którzy mieli sporo pieniędzy, i jako tako zdołali się zagospodarować, zostali na miejscu; inni zaś musieli wrócić do stron rodzinnych. Obok nieurodzaju są wszakże jeszcze inne czynniki bardzo ważne. Przedewszystkiem wychodźcy wracali z różnych miejscowości, nietylko dotkniętych nieurodzajem, tj. z Syberyi zachodniej, ale i ze środkowej, a nawet z dalekiego Wschodu.

W sprawie przesiedleńczej *Rosya* uważa za rzecz wielkiej wagi zorganizowanie zaludnienia granic rosyjsko chińskich, tj. na pustych dotąd obszarach zaleca budować gęsto wsie i osadzać tam ludność, któraby się zajmowała rolnictwem, przemysłem i handlem. Oczywiście należy tu dobierać ludność odpowiednią, tj. taką, któraby się mogła łatwo przystosować do warunków miejscowych.

Jedną z ogromnych klęsk społecznych, sprowadzających nędzę, a więc i dążność rozpaczliwą do wychodźtwa na oślep, są także pożary, które w roku bieżącym na szerokich obszarach państwa przybrały olbrzymie, niebywałe rozmiary. Od wczesnej wiosny przez całe lato aż do chwil ostatnich wsie, miasteczka, miasta, osady fabryczne i lasy tworzyły bezgraniczne morze płomieni. Pisma podawały straszne, prawie legendowe opowieści o tych trudnych do opisania klęskach, o krwawych łunach, zalewających po nocach całe niebo. Ogień pustoszył szerokie okolice, zni-

---

Dziewczyna pobladła. Ładnie jej było z rumieńcem; lecz bladość i zamyślenie, które osiadły na jej twarzy, uczyniły ją niezwykle zajmującą, tak że Bob, zapatrzony, zapomniał na chwilę o śmieszności położenia.

— Wyjdź, dziecko, na minutkę, ja cię zawołam — odezwała się do chłopca pieszczotliwie, lecz stanowczo, i otworzywszy drzwi, wyprowadziła go z pokoju; a Bob patrzał zdumiony, tyle w jej obejściu było troskliwości macierzyńskiej, niezgodnej z młodzieńczym jej wiekiem. Uderzyło go też jej ubranie cokolwiek staroświeckie i niezupełnie zastosowane do pory i klimatu, lecz zrobione z dobrego materyału: pod grubym zwierzchnim płaszczem miała na sobie lekki żakiet i cieniutką, letnią bluzkę, na głowie ciemny kapelusz z prostej słomy, bardzo skromnie przybrany. Pomimo tych cech ubóstwa, w każdym jej ruchu znać było dobre wychowanie i zupełną pewność siebie, które mogły wypływać z instynktownej niechęci, z jaką Bob dobrze to widział, czarne jej oczy patrzyły na niego. Pozornie była jednak grzeczną, aż do przesady, jak mu się zdawało, kiedy postąpiwszy krok naprzód, powolnie z akcentem południowym, czasami nawet zupełnie w dyalekcie Południa zaczęła mówić, chłodno patrząc mu w oczy:

— Wyprawiłam chłopca z pokoju, gdyż, o ile sądzić mogę, jego zachowanie się drażni pana, a jeszcze więcej dla tego, że przyjęcie, jakie go tu spotkało, zrobiło mu wielką przykrość. Pańskie uczucie może jest zupełnie naturalne, a w każdym razie zgodne z dotychczasowem zachowaniem się względem obojga, lecz dziecku trzeba wybaczyć ten poryw serdeczny; bo z wielką niecierpliwością oczekiwało i wyglądało tego spotkania. Wystarczy chyba jeśli powiem, że od dnia odebrania ostatniego listu pańskiego, oboje z siostrą przychodzili codziennie na stacyę na spotkanie pana, dopóki dziewczynka nie zachorowała. Każde słowo listu pańskiego było dla nich ewangelią.

— Mojego listu—przerwał Falloner.

— Przepraszam, powinnam była powiedzieć: listu, który pan dyktował, bo istotnie nie był pisany ręką pańską, pan miał rękę skaleczoną, jeśli pan sobie przypomina—dodała ironicznie. — W każdym razie oni uwierzyli wszystkiemu co do słowa—że pan przyjedzie lada dzień i pod wpływem tej wiary codziennie z fotografią w ręku chodzili na stacyę, ażeby łatwiej mogli poznać i pierwsi przywitać pana.

— Z moją fotografią? — przerwał znowu Falloner.

Oczy dziewczyny błysnęły widocznym gniewem.

— Sądzę, że to jest pańska fotografia, i dodać muszę, że bardzo dobra — rzekła, wyjmując z kieszeni podobiznę Boba, przysłaną przez Daddy Folsoma, i przyglądając mu się tonem wzgardliwej wyższości.

W jednej chwili Bob zrozumiał i przypomniał sobie wszystko: ustęp o skradzionej fotografii w liście Houstona stał się dla niego jasnym jak i pomyłka dzieci, spowodowana jego przypadkowem przybyciem do Shepherdstown. Lecz jednocześnie z tą świadomością zjawiła się przekorna chęć przedłużenia nieporozumienia, aby nad dziewczyną, która tak widocznie nieprzyjazną mu była, tembardziej zatryumfować.

— Czy pani ma i list także? — zapytał jej spokojnie.

Wyrwała papier niecierpliwie z kieszeni i podała mu.

Zaczął odczytywać znane sobie i tak charakterystyczne brednie Daddy'ego i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu; lecz kiedy podniósł oczy, zobaczył ze zdumieniem, jak groźnie, z jakiem oburzeniem i prawie ze łzami, patrzała na niego nieznajoma.

— Widocznie, bardzo to panu wydaje się zabawnem, prawdopodobnie więc jest to jakiś żarcik kalifornijski —rzekła, a usta jej drżały. Ja nie znam zwyczajów Północy, lecz widzę, że i pan zapomniał naszych, tak jak zapomniał o swem rodzeństwie. Tam, może takie rzeczy bawią, niema w nich jednak nic wesołego dla tego biednego chłopca, który w przedpokoju gorzkiemi zalewa się łzami, ani

szczył siedliska ludzkie, lasy, torfowiska, łany zboża. Gęste chmury dymu w dni pogodne zasłaniały słońce. Skutkiem tej niezwykle olbrzymiej klęski niektóre ziemstwa zupełnie wyczerpały swoje fundusze ubezpieczeń.

Ks. Mieszczerskij przed kilku tygodniami w *Graždaninie* pisał, że w sprawie walki z pożarami Rosya niewiele się posunęła naprzód od czasów św. Włodzimierza. Wsie palą się tak samo, jak się paliły przed tysiącem lat. Różnica polega tylko na tem, że w starożytności przy niskiej cenie drzewa na miejscu spalonej wsi powstawała inna, bez wielkiego uszczerbku dla pogorzelców. Obecnie drzewo jest drogie, a po wypaleniu się lasów cena jego będzie wyższą; a więc odbudowa będzie trwała wiele lat. Tymczasem smutne doświadczenie niczego nie nauczyło ludności. W stuleciu ubiegłem pożary poczyniły szkody przeszło na dwadzieścia miliardów, a pomimo to nowe wsie wyrastają i budują się po dawnemu ze skupionemi obok siebie budowlami, z dachami krytymi słomą.

Czy się coś robi dla zapobieżenia tej klęsce? Przed dziewięciu laty (w czerwcu 1892 r.). w Petersburgu zwołano pierwszy wszechpaństwowy zjazd „działaczów ogniowych,“ na którym powzięto przekonanie, że kwestyę pożarów można rozstrzygnąć pomyślnie tylko siłami zbiorowemi społeczeństwa. Zjazd ten powołał do życia dwie nowe instytucye bardzo ważne: oddział ubezpieczeń przy ministeryum spraw wewnętrznych (1894 r.) i Zjednoczone Towarzystwo ogniowe (1893), założone z inicyatywy znanego działacza „ogniowego,“ hr. Szeremetjewa. Powstało pismo specyalne, również dzięki zabiegom tego samego inicyatora; stworzono normalną ustawę straży ochotniczych, założono instytucyę Błękitnego Krzyża, urządzono ruchomą wystawę ogniową, która skupiła wszelkie środki techniczne walki z pożarami. Z początku tedy zjazd wywołał bardzo pomyślną i pożądaną działalność w tej dziedzinie. Powoli jednak zaczęło wszystko zamierać. Pismo specyalne przestało wychodzić; oddział ubezpieczeń i Towarzystwo połączone, jak zaznacza prasa rosyjska, prowadzą żywot ospały, nie posiadają już tej energii, co w początkach swego istnienia. Mnóstwo ważnych spraw, poruszonych na zjeździe, utonęło w morzu zapomnienia; nie opracowano ich i nie urzeczywistniono.

*Nowoje Wremia*, traktując tę sprawę ze stanowiska ekonomicznego, słusznie woła, iż „miliony się palą,“ że pożary są jedną z przyczyn ubożenia ludności. Ażeby tedy przedsięwziąć stanowcze i skuteczne środki walki z klęską, należy przedewszystkiem zwołać znowu zjazd i wezwać do narady możliwie największą liczbę ludzi oraz nadać mu taką formę, aby wszelkie jego uchwały miały moc obowiązującą. Główne przyczyny pożarów są powszechnie znane: 1) podpalanie z umysłu w celach spekulacyjnych dla podniesienia sumy asekuracyjnej; 2) podpalenie przez zemstę; dalej: 3) pozostawianie dzieci, starców, idyotów i obłąkanych po wsiach bez dozoru; 4) krycie dachów słomą i trzciną; 5) skupianie budowli obok siebie, 6) nagromadzanie materyału łatwo palnego i chodzenie wyrostków z papierosami. Następnie: 7) brak dobrej komunikacyi, odpowiedniej liczby straży ogniowych i narzędzi niezbędnych. Co do pożaru lasów, przyczyny są mniej różnorodne: służebności, podpalanie z rozmysłu, brak należytego dozoru itd. Wszystkie te przyczyny, jak widzimy, dają się podzielić na społeczne, ekonomiczne i prawne. Według takich kategoryj powinny one być rozpatrywane na zjeździe.

Z kwestyą pożarów są tedy związane: urządzenie przytułków i szpitali dla idyotów i obłąkanych, ochron dla dzieci i starców, pozostawianych w domu podczas robót polnych; odczyty popularne, pouczające, w jaki sposób należy zabezpieczać się od pożaru. Zadrzewianie siedzib i dróg; surowe zastosowanie przepisów co do zabudowywania wsi, miasteczek i osad spalonych, tudzież wznoszenia siedzib nowych. Zawiązywanie spółek wiejskich do wyrobu dachówek i wogóle materyałów budowlanych niełatwo palnych. Wykłady budownictwa wiejskiego.

Inny charakter mają pożary fabryk, co zależy od urządzeń fabrycznych, kategoryi przemysłu i innych przyczyn, często nieprzewidzianych. Klęska pożarów związana zatem jest z potrzebą ważnych reform i ulepszeń w życiu ludności.

Oddawna odczuwana potrzeba reformy, znoszącej szachownicę, wchodzi obecnie znowu na porządek dzienny. Według doniesienia gazety *Wołyń*, wkrótce zajmie się tą sprawą komisya osobna pod przewodnictwem gubernatora wołyńskiego. Czterdzieści już lat trwa ta kwestya, która spadła ciężkiem brzemieniem na ludność włościańską i większych właścicieli ziemskich. Spory gruntowe najbardziej rozbudzają namiętności, wywołują zemstę i zbrodnie wszelakie. Pomimo to w ciągu czterdziestu lat sprawa nie posunęła się ani o krok naprzód. Powszechnie wiadomo, że trzypolówka, dotychczas panująca w guberniach południowo-zachodnich, jest największym hamulcem w postępach gospodarki racyonalnej i wielu rolników doprowadza nawet do ruiny. Systemu tego jednak właściciele ziemscy zmienić nie mogą, pomimo najszczerszych chęci, gdyż na przeszkodzie stoją właśnie szachownice. Właściciele nie mogą samodzielnie rozporządzać swoim majątkiem, muszą się ciągle stosować do rozrzuconych strzępków ziemi włościańskiej. Stąd właśnie powstaje samowola i ciężkie kary, spadające na ludność włościańską. Szachownice tedy zgubnie oddziaływają zarówno na stronę moralną, jak i ekonomiczną ludności. Myliłby się, ktoby chciał utrzymywać, że włościanie trzymają się uparcie i bronią systemu trzypolowego. Lud wołyński, mając od lat wielu przykład gospodarki wielopolowej Niemców-kolonistów, przekonał się o zaletach tego systemu i chętnie by go wprowadził u siebie. Całym i najważniejszym jednak szkopułem na drodze do tej reformy jest niewiara włościan w rzetelność rozmierzenia gruntów. Boją się krzywdy. Bywały wypadki, że właściciele ziemscy ofiarowywali włościanom po 100 do 200 dziesięcin gruntu bezpłatnie, ażeby się tylko zgodzili na pomiary. Pomimo tak korzystnych warunków, włościanie nie chcieli przystać na propozycyę. Wielce charakterystycznym jest fakt, że im większe ulgi i dogodności proponują właściciele ziemscy, tem większą niewiarą i twardszym uporem lud na to odpowiada. Niewątpliwie w znacznej mierze jest to wpływ doradców pokątnych oraz tradycyi dawnych smutnych wypadków. Komisya więc będzie miała bardzo twardy orzech do zgryzienia.

Skoro potrąciliśmy o sprawy włościańskie, nie można pominąć tak ważnego faktu, jak myśl utworzenia agentury handlowej nadzorczej celem ochrony włościan od wyzysku spekulantów. Oto co z tego po-

---

dla biednej chorej Cesi, z takiem upragnieniem wyglądającej brata. Ja nawet nie wiem, czy w tym stanie podniecenia w jakim ona się dziś znajduje, można ją narażać na bolesne wrażenie, któremu bezwarunkowo uledz musi, widząc się z panem. Przyrzekłam jednak: ona tam czeka, zawód z tej strony mógłby się okazać również w skutkach niebezpiecznym, więc proszę pana choćby na krótką chwilkę tylko o trochę serdeczniejsze obejście z biedaczką.

Przy tych słowach Bob z wyrazem hamowanego rozweselenia w oczach zrobił ruch bezradności pociesznej.

— O tak — dorzuciła, przerywając mu pośpiesznie — pan ich dawno nie widział; nie mają więc prawa wymagać tak wiele od pana; tylko—tylko—jeśli takie są uczucia pańskie dla nich, po co - po co było przyjeżdżać?—wybuchnęła gwałtownie.

Była to właśnie chwila stosowna dla przygotowanego przez Boba efektu. Lecz, kiedy zwróciwszy się z grzecznym ukłonem, zaczął poważnie: ja tylko po to przyjechałem, żeby—twarz mu się nagle zmieniła jak gdyby pod wrażeniem nagłego ciosu.

Dla Boga! cóż on chciał uczynić? po co tu przybył? Ażeby powiedzieć tym biednym dzieciom, że brat, którego z takim utęsknieniem wyglądały, o którym myślą żyły, już dawno umarł. I był tak bezmiernie głupi, że dla zadowolenia próżności, podrażnionej lekceważeniem młodej dziewczyny, dla przyjemności upokorzenia tej nieznajomej, zapomniał o wszystkiem i gotów był z całą bezwzględnością spełnić swoje poselstwo. Gdyby śmierć Lashama żywiej go była obeszła, byłby prawdopodobnie lepiej odczuł, jakiego podejmował się zadania, lecz Lasham nie był mu kolegą ani też towarzyszem, był tylko tak samo jak on, poszukiwaczem złota, a to, co Bob wówczas dla jego rodzeństwa uczynił, zwykłym w życiu obozowem objawem solidarności. Jeśli więc ta dziewczyna miała przedtem prawo nazywać go zimnym i bez serca, to cóż ona teraz o nim pomyśli? Niedorzeczna pomyłka zaczęła w jego pojęciu przeistaczać się w ponurą tragedyę, okrutne przeznaczenie, którego ciosy spaść na nich miały. A sama myśl o tem przejmowała go takim bólem, że, drżąc cały zrozpaczony i przejęty, bezwładnie upadł na krzesło.

Dziewczyna widziała, co się z nim działo i pod wpływem wrażenia zapomniała o swem poprzedniem oburzeniu.

— Niech pan tak do serca nie bierze — rzekła pospiesznie—a usta jej drżały od wewnętrznego wzruszenia — ja nie chciałam przykrości panu zrobić, nie mogłam tylko znieść lekceważenia i wesołości z jaką pan to wszystko przyjmował i dlatego zapomniałam, że najmniejszego nie mam prawa dawać panu nauk, ja, której pan prawie nie zna i nigdy przedtem nie widział. Pozwoli więc pan, że mu się sama przedstawię — zaczęła mówić prędko, co robiło wrażenie dziwnej sprzeczności z jej poprzedniem powolnem wymawianiem, właściwem dyalektowi południowemu.

— Jestem córką pułkownika Boutelle z Bayou Sara w Luizyanie, którego ojciec był tamże właścicielem plantacyj od niepamiętnych czasów, lecz i plantacye i sześciuset murzynów utracił podczas wojny. My byliśmy bardzo biedni — rodzice i nas dziewcząt cztery, a w dodatku nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o pracy. Ja wprawdzie byłam na pensyi w klasztorze w Nowym Orleanie, znam język francuski i gram na fortepianie, więc dostałam tu miejsce nauczycielki. Ricketts, który kiedyś w Bayou Sara był u nas rządcą, powiedział mi o tych dzieciach, o ich opuszczeniu i samotności, o tem, że miały tylko jednego brata, który od czasu do czasu przysyłał im pieniędzy z Kalifornii. Zainteresowałam się biedactwem, bo wiem dobrze, co to jest być samą wśród obcych; zaczęłam uczyć ich w chwilach wolnych, opiekować się nimi, chodziłam z nimi na stacyę wyglądać pana. Ricketts dowodził mi zawsze, że pan o nich nie dba, a ja niesłusznie uwierzyłam, że to prawda, widząc, jak pan ot teraz przyjmował biednego Jima. Ale powiedziałam, co myślę, więc pan już wie.

Umilkła i podeszła do okna. (D. n.).

wodu pisze *Wołyń*: „Ludność włościańska cierpi pod naciskiem grubej warstwy ciemnoty. Niedomagania te leczone są dawkami homeopatycznemi; urządzane są szkółki z nauczycielkami i nauczycielami, pobierającymi po 7 rb. 50 kop. miesięcznie; nauka dzieci narzucana jest duchowieństwu, które nie może podołać swym obowiązkom bezpośrednim. To też w jednej miejscowości postanowiono zamknąć pięć szkółek parafialnych „z braku uczniów, pomimo że szkoły ministeryalne w tej samej miejscowości są przepełnione." Włościanie dobrą połowę, a nawet i więcej owoców swej pracy oddają różnym dobroczyńcom, którzy przychodzą z pomocą w najrozmaitszych postaciach w braku kapitału obrotowego na prowadzenie gospodarki chłopskiej. Na organizacyę w sposób właściwy kredytu drobnego „niema środków." Istnieje Bank włościański, ale działalność jego jest bardzo ograniczona i chyba tylko służy do nabywania dla włościan ziemi... z trzeciej ręki; wcale zaś nie wydaje drobnych pożyczek..."

Pismo zwraca uwagę na to, że ministeryum rolnictwa nic jeszcze w tej mierze nie zdziałało.

*Birżewyja Wiedomosti* powołując się na to, że w ostatnich czasach niejednokrotnie występowała na porządek dzienny sprawa obowiązkowego nauczania, którego jedną z głównych przeszkód jest podobno brak sił pedagogicznych, radzą, ażeby wolno było obok misyonarzy patentowanych stanąć niepatentowanym. Jako wędrowni nauczyciele, oddaliby oni nieocenione usługi w wioskach zapadłych, dręczonych mrozami 20-stopniowymi, gdzie rodzice nie mając ciepłej odzieży dla swej dziatwy, nie mogą jej posyłać do szkoły odległej. „Census licznych nauczycieli szkół elementarnych jest rażąco niski, więc pytanie, kto byłby właściwszym do tych zadań: czy napół oświeceni starcy-podoficerowie, uczący jeszcze według „azów," czy też ci ochotnicy, którychby wysunęło na jaw pozwolenie uczenia dziatwy wiejskiej. Ażeby uniknąć nadużyć i podstępów, jakieby się mogły zdarzać w tej mierze, pismo radzi rozciągnąć kontrolę nad przyszłymi nauczycielami tej kategoryi. Coraz częstsze przykłady pojawiania się takich nauczycieli wędrownych, wymownie świadczy o ich potrzebie. „Ojciec posyła swego syna na naukę tylko do takiego człowieka, któremu ufa i tym sposobem sam się już staje pierwszą instancyą sądzącą. Inteligencya miejscowa widzi to budzące się zjawisko i zarazem wie, że ono jest tylko pożyteczne.

*Paweł Krzyżanowski.*

## Z PODRÓŻY PO GALICYI.

### I.

Wiecie roku bieżącego po raz pierwszy zobaczyłem Galicyę, którą dawniej przebiegłem był kilkakrotnie tylko w wagonie kolejowym. Zobaczyłem ją zaś, przebywszy na jednym z najdogodniejszych środków komunikacyi, na rowerze, Czechy, Morawy i Śląsk. Włóczyłem się tedy i po Galicyi na swojej maszynie, robiąc przystanki po karczmach, nocując w miasteczkach, zawierając krótkie znajomości z ludźmi sfer najrozmaitszych, a zwiedziłem szmat kraju spory — od Białej aż po za Lwów. Jeżeli chcę wrażeniami podzielić się z czytelnikami *Prawdy*, to zgóry wiem, że nowego niewiele im mam do powiedzenia. Będzie to stara opowieść o beznadziejnej niemal nędzy galicyjskiej. Dlaczego więc powtarzać?— Sądzę, że powtarzać trzeba koniecznie. Bo opowieść o nędzy galicyjskiej kończyć się musi zawsze rozpaczliwym okrzykiem—giniemy! Giniemy w bagnie cuchnącem zastoju i ciemnoty, giniemy wskutek dzikiego spaczenia urządzeń społecznych, giniemy z własnej winy. A jeżeli tak, to milczeć nie wolno, jeżeli tak, to powtarzać trzeba tę starą opowieść bez końca, aż przecież kiedyś obudzimy się z letargu, dojrzymy to bagno i zabierzemy się wszyscy do ratunku.

Jeszcze zanim dojechałem do słupów granicznych państwa Galicyi i Lodomeryi, miałem przedsmak tej nędzy. W jednej z karczem morawskich gawędzę z gospodarzem, jak zwykle: skąd? dokąd? Gdy powiedziałem, że jadę do Krakowa, przysunął się do mnie młody, z waszecia ubrany parobczak — było to w niedzielę — i oświadcza łamaną polszczyzną, że on z pod Krakowa. Wypytuję, co tu robi, chociaż mógłem właściwie dać sobie sam odpowiedź: przybył w poszukiwaniu większego zarobku! To też kwestya była zupełnie jasną: jest parobkiem, zarabia 120 reńskich, w Galicyi zarobiłby 40 lub 60, a przytem — dodał — „wikt lepszy, lepiej się z człowiekiem obchodzą." Chwalił więc sobie Morawą, ale — po polsku już mówi źle, ziemi polskiej, owej biednej ziemi ubyło parę rąk! Jestem w Witkowicach, w wielkich zakładach metalurgicznych pod Ostrawą Morawską. Piekło to straszne; do takiej fabryki żelaza i stali trzeba i ludzi stalowych, o mięśniach tęgich, o nerwach jak postronki, o wielkiej przytomności i znacznych zdolnościach umysłu. I są tam tacy ludzie. Widziałem chłopaka dwudziestoletniego; stał przed parą syczących walców, wsparty lekko na wielkich kleszczach żelaznych, silny, kształtny. Meunier takich nie miał modeli, gdy tworzył swoje arcydzieła, w które wcielał świat nowożytnego proletaryatu. Walce zawarczały i wypluły węża ognistego — sztabę żelaza rozgrzanego do białości; młody robotnik chwycił w kleszcze tego węża, wywinął nim i w susach mazurowych pędził przez halę, wlokąc za sobą syczące żelazo. Jeden krok niebaczny, jedno potknięcie—śmierć, lub — co gorsza— kalectwo wieczne! A ten cyklop młody na podskoki taneczne sobie pozwalał. Gdy sztaba znikła w ostatniej parze walców, otarł czoło i zawołał: „Poczekajta, jeno wody się napiję!" Po polsku mówił — to chłop galicyjski. Ich tu tysiące, dziesiątki tysięcy, tych chłopów galicyjskich. Blisko 60% robotników w Witkowicach i zagłębiu węglowem karwińskiem stanowią Polacy, a z nich znaczną część— Galicyanie. Przybywa chłop niezdarny w koszuli zgrzebnej, niemrawy, tępy, przybity, zgłodniały; dostaje się do tego piekła ziejącego ogniem i śmiercią i — albo zginie, albo się wybije. Wybije się — to znaczy tutaj: za szaloną pracę, trwającą 11 godzin, przy której człowiek co chwila zaziera śmierci w oczy, zarobi 1—4 reńskich dziennie. Smutne to „wybicie się"! Ale tu chodzi mi o co innego: Taki robotnik w Witkowicach lub w kopalniach karwińskich, to bądź co bądź inna siła społeczna, niż poczciwy kmiotek, tuman, głodomór, którego jedyną potęgą jest właśnie owa zdolność znoszenia głodu; taki robotnik, to człowiek nowożytny, to jednostka ludzka, pewna siebie, poczuwająca się do godności własnej, to człowiek, który dla siebie będzie torował nowe drogi i zdobywał świat. Galicya tych ludzi nie mogła zatrzymać u siebie, Galicya nie posiada wielkiego przemysłu, ona oddaje, oddawać musi, swe bogactwo, ludzi — i to takich ludzi!— aby po za jej granicami powstać mógł i rozwinąć się przemysł wielki. Bo Galicya jako ustrój społeczny i gospodarczy, ludzi tych straciła — na zawsze. Jest jakaś agitacya polska w Ostrawie Morawskiej, stawiają tam „dom polski," bronią się przeciw czechizacyi. Może uda się rzeczywiście tym robotnikom zachować swą polskość, udać się powinno nawet, gdyż oni czują się Polakami a siedzą tu ławą. Lecz to nie zmieni rzeczy dla Galicyi. Jej ubyło i ubywa ludzi, ubywa krwi i ciała.

A dalej — zaczęła się już bieda galicyjska widoczna. Widziałem ją i czułem, gdym jechał po gościńcu galicyjskim, znacznie gorszym od morawskiego i czeskiego, gdy mijałem wsie biedne, nędzne, z sadami lichymi, z chatami nędznemi, gdy patrzyłem na pola źle uprawne, na inwentarz marny. Przeraziła mię ona, gdy patrzyłem na miasteczka cuchnące, z ludnością żydowską, biedną, obszarpaną, wynędzniałą, na domostwa-rudery, na niechlujstwo i nieład. Jakaż różnica przerażająca w porównaniu z miastami i wsiami czeskiemi! Różnica tak wielka, że kto ją raz zauważył, wątpić nie może: Galicya po za Czechami pozostała wstecz o pół wieku, a jeżeli mowa o Galicyi wschodniej, to może należy powiedzieć — o wiek cały! To różnica spowodowana całymi wiekami kulturalnego rozwoju. Każde miasto czeskie, nawet najmniejsze, ma ślady jakiejś wiekowej kultury; świadczy o niej już architektura sama — owe rynki ze starymi domami, ratusze, pomniki. Czuje się, że tu w twardej walce mieszczaństwo opierało się zachciankom magnateryi, że tu szalały burze i zawieruchy społeczne, ale w walkach zahartował się żywioł społecznego postępu, czuje się, że dziś tętni tu życie. Takie zaś miasteczko w Galicyi wschodniej powstało z woli magnata i gwoli jego korzyści, było miejscem dla poboru daniny i dochodów z propinacyi; dziś jest siedliskiem garstki rzemieślników, wiodących żywot nędzny, i garstki Żydów, gnębionych jeszcze większą nędzą.

Mówiłem o drogach. Gołe cyfry wymowniejsze tu będą od wszelkich opisów: Galicya posiada ogółem 9,057 kilometrów dróg, a w tej liczbie 3,322 państwowych; Czechy zaś 27,046 kilom., a w tej liczbie państwowych 4,293. Tymczasem obszar Galicyi wynosi 78,496 kilom. kwadratowych, obszar Czech — 51,948. Wypada zatem w Galicyi na 100 kil. kw. 11,5 kilometra dróg, w Czechach — 54 kilometry. Podobnie co do kolei żelaznych: w Galicyi na 100 kil. kw. obszaru przypada 3,7 kil. toru kolejowego, w Czechach — 9,1. To też w Galicyi ma się wrażenie, że masa ludności, nawet miejskiej, jest jeszcze przykutą niejako do swego kąta, podczas gdy w Czechach, a także na Śląsku i Morawach ruch podróżnych daje się odczuć na każdym kroku. Najlepszym tego dowodem, że podróżny, człowiek obcy, w najmniejszem nawet miasteczku czeskiem nie zwraca na siebie uwagi, w Galicyi zaś, zwłaszcza we wschodniej, staje się on przedmiotem niemal zbiegowiska publicznego. A już dotkliwie odczuwa każdy podróżny różnicę, gdy chodzi o nocleg: W Czechach, na Morawach i Śląsku nigdy nie miałem najmniejszych trudności pod tym względem; nietylko w miastach, lecz nawet po wsiach można było otrzymać za tanie pieniądze przyzwoity pokój z łóżkiem. W Galicyi zaś wyszukanie noclegu w miasteczkach było zawsze połączone z ogromnemi trudnościami; tu podróżny zależny jest wprost od dobrego humoru właściciela restauracyi lub szynku, który zechce urządzić mu nocleg na jakim tapczanie, a na pewno nie opuści takiej okazyi, by zedrzeć porządnie z takiego dziwaka, co to podróżować chce po kraju. Bo też, po co tu podróżować? W mieście czeskiem czy niemieckiem podróżuje kupiec, agent handlowy, każde miasteczko ma jaki taki przemysł choćby rękodzielniczy, ma handel, przeznaczony na zaspokojenie potrzeb ludności okolicznej, a potrzeby te są dosyć różnostronne. Miasteczko zaś galicyjskie jest siedzibą tłumu żydowskiego, o którym dotąd nikt dokładnie nie wie, z czego właściwie żyje, potrzeby zaś ludności okolicznej są minimalne. Galicya tkwi jeszcze dotąd w stosunkach t. zw. „gospodarki naturalnej," gdzie

„Maciek zrobił, Maciek zjadł": o tem poucza już pierwszy rzut oka na miasteczko galicyjskie.

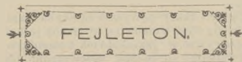
Przytem miasto zarówno, jak miasteczko galicyjskie, przerażający poprostu przedstawia widok pod względem zdrowotnym. Chodziłem ja kiedyś po Whitechapelu, oglądałem osławione *slums*, nory, w których gnieżdżą się męty milionowej stolicy, rozglądałem się w warunkach zdrowotnych przepełnionych do niemożliwości koszar mieszkalnych Berlina i Paryża. Lecz przyznaję, że dotąd nie widziałem nic szkaradniejszego, nic tak strasznego, jak miasteczko galicyjskie. Wątpię, czy gdziekolwiek w Europie ludzie żyją w warunkach bardziej zabójczych. Dla ilustracyi jeden fakt. Nocowałem w Busku i wedle zwyczaju chciałem otworzyć okno sypialni: wnet jednak cofnąłem się—do izby wtargnęła fala niemożliwie smrodliwego powietrza. Okno wychodziło na zaułek dzielący dwa olbrzymie domy, szeroki na jakie dwa metry; zaułek ten był śmietnikiem i zarazem miejscem ustępowem. Wtedy dopiero zauważyłem, że taki sposób budowania i takie niechlujstwo jest ogólnem. Wszędzie w miasteczkach domy, wychodzące frontem na rynek, mają takie zaułki, a bardzo wiele mieszkań nie ma innych okien, tylko wychodzące na te zbiorniki gnoju. Spostrzeżenie moje nowem zresztą nie jest, gdyż w „Sprawozdaniu c. k. rady zdrowia o stosunkach zdrowotnych w Galicyi" czytam: W małych miasteczkach dotkliwym jest brak miejsc ustępowych. Bywają miejscowości, gdzie czwarta część domów nie posiada ich wcale." Ludność zaś braku tego nie odczuwa. Opowiadał mi np. w Kamionce-Strumiłowej nad Bugiem pan aptekarz: „Miałem zbywający taki budynek drewniany; proponuję majstrowi mularskiemu, który dom mi przerabiał, by zabrał go dla siebie, a on mi na to: Panie, a mnie na co? toż mieszkam nad Bugiem." Bug zaś ma tu bieg niezmiernie wolny, a ludność okolicznych wsi czerpie wodę z Bugu. Czytam bowiem znów w owem sprawozdaniu: „Wiele wsi jest tak ubogich, że przy nieco utrudnionych warunkach gruntowych, urządzenie studni publicznej przechodzi finansową siłę gminy. Na wyżynie podolskiej, wiele wsi, liczących do 2,000 mieszkańców, nie posiada ani jednej dobrej studni." — Tak jest w małych miasteczkach. A w dużych? Kraków, ta siedziba inteligencyi polskiej — cuchnie gorzej od Whitechapel londyńskiego. I to nietylko Stradom i Kazimierz; w śródmieściu zdarzało mi się widzieć podwórze o potwornem wprost niechlujstwie. Wątpię także, czy mieszkańcy najbardziej osławionych „slums" londyńskich gnieżdżą się w gorszych norach, niż biedna ludność Krakowa, a przytem ta ludność płaci komorne wyższe, niż w miastach Zachodu, sławnych z drożyzny mieszkań, o czem wypadnie powiedzieć słów kilka.

Tak w miastach. A wieś, owa „polska, zdrowa wieś?" Zdarzało mi się zachodzić do izb, gdzie nawet w lecie, przy otwartych drzwiach przez dzień cały panował zaduch, utrudniający oddychanie, a cóż dopiero dzieje się tu w zimie? I znów, nic nowego: Sprawozdanie wspomniane stwierdza: we wsiach częstokroć warunki hygieniczne mieszkań są gorsze, niż w dużych miastach: większe przepełnienie, domy niskie, okna małe.

A teraz skutki: Śmiertelność wynosi w Galicyi 2,79%, podczas gdy w Dolnej Austryi 2,27, w Austryi Górnej 2,85, w Czechach 2,47. Wyższą od Galicyi śmiertelność posiadają już tylko — Bukowina, Dalmacya i Kraina. A ze sprawozdania komisyi zdrowia dowiadujemy się, że czwarta część zmarłych przypada na choroby zakaźne. W roku 1897 umarło na gruźlicę 668 osób, t. j. 3,47 na tysiąc ludności, na zapalenie płuc 3,43‰, na koklusz 1,30‰, ospę 0,17‰, płonicę 1,48‰, tyfus brzuszny 0,56 ‰, na gorączkę połogową 0,18‰. Komisya zdrowia stwierdza również przerażające rozpowszechnienie chorób wenerycznych. Jednym z probierzy kultury jest śmiertelność dzieci w danym kraju. W Galicyi zmarło w roku 1897 w pierwszym miesiącu po urodzeniu 28,696 dzieci, czyli 4,3 na tysiąc mieszkańców, prócz tego w pierwszym roku życia zmarło 32,400 t. j. 10,40‰. Z nowonarodzonych dzieci umiera prawie 23% w pierwszym roku, co jest liczbą przerażająco wysoką. W takim Londynie, który przywykliśmy uważać za piekło pod względem warunków w jakich wyrasta młode pokolenie, śmiertelność wynosi tylko 15%. Za rok 1899 znajdujemy cyfry, dotyczące śmiertelności w większych miastach Austryi (*Statistische Moratsschrift* za rok 1900 str. 155), które wykazują: w miastach tych na 10,000 mieszkańców umierało dzieci w pierwszym roku życia 54,8; z miast galicyjskich nie dosięga tej liczby tylko jedno—Stanisławów, (18,4) wszystkie inne przewyższają je znacznie; w Krakowie 65,6, we Lwowie 66,1, w Brodach 69,6, Jarosławiu 8,10, Tarnopolu 81,7, Kołomyi 81,8, Samborze 86,8, w Przemyślu 88,3, Podgórzu 101.7.

*Dr. J. B. Marchlewski*

---




# PAMIĘTNIK.

### *Nowy teatr w Łodzi.*

Tylko otwarcie nowego teatru prywatnego w Łodzi — nic więcej! Gdzieindziej byłby to dość zwykły wypadek miejscowego znaczenia. U nas — zdarzenie historyczne. Stąd obszerne artykuły i telegramy w prasie, stąd sprowadzanie osobnym wagonem Sienkiewicza, stąd deputacya oczekująca go w Koluszkach, stąd tłum i uroczyste przyjęcie na dworcu w Łodzi, stąd powstawanie z miejsc publiczności przy jego wejściu do loży, stąd obrzucanie kwiatami siedzących obok siebie „dwóch Henryków" (i Siemiradzkiego), stąd tomy, ogromne tomy drukowanych słów! Nie przeczymy, że miasto tak wielkie, a przytem miasto tak zagrożone germanizacyą, jak Łódź, potrzebowało teatru polskiego, któryby jego mieszkańcom dawał przyjemności artystyczne i chronił ich od zgubnego wpływu niemiecko-żydowskich pierwiastków. Życzymy też szczerze nowej instytucyi powodzenia i jak najlepszych owoców. Ale ten histeryzm społeczno-publicystyczny, to wpadanie w jakąś bezprzytomną ekstazę, to podnoszenie zwykłego przedsięwzięcia na szczyty wiekopomnych dzieł i zdumiewających tryumfów, to mianowanie prostej skrzyni arką i wyprawianie przed nią zapamiętałych pląsów — już nie śmieszy, ale zasmuca. Zwłaszcza że tak się dzieje ciągle i że wyrzucając potoki ognistej lawy na sprawy stosunkowo małe, nie mamy zwykle nawet umiarkowanego zapału dla wielkich. Teatr, tylko teatr pod najrozmaitszemi postaciami wulkanizuje nasze dusze, pożera nasze uczucia, których nam brak, ach, jak strasznie brak dla idei świecących potężniej i trwalej.

### *Wyciśnięta cytryna.*

W jednym ze szpitalów warszawskich leży nieuleczalnie chory poeta i publicysta, którego pawie pióro tkwiło długo w kołpaku prasy konserwatywnej. Pozbawionemu wszelkich środków do życia grozi utrata osobnego pokoju i przeniesienie na wspólną salę wraz z rozmaitymi niedostatkami takiego położenia. Prawdopodobnie ostatnia uchwała Kasy literackiej co do wsparcia stu kilkunastu rubli dotyczy tego biedaka, gdyż tyle wynosi jego dług szpitalny. Ale pomijając nawet ten wzgląd, że owa jałmużna nie zabezpiecza dalszej jego kuracyi i bytu, zapamiętać należy dziwną obojętność na niedolę towarzysza ze strony tych, z którymi i dla których on pracował, którzy korzystali z jego talentu, a często szczycili się nim. Mamy zaś na myśli wydawców zamożnych, mogących bez wysiłku zdobyć się na pomoc koleżeńskiego miłosierdzia. Więc czemuż z nią nie spieszą? Ot poprostu nie troszczą się o wyciśniętą cytrynę. Leży ona już dziś na śmietniku życia bezużyteczna, pozbawiona soku, gnijąca, do niczego nieprzydatna. Trzeba grosze zbierać na kupienie nowych, które może taki sam los czeka. Ów chory literat był naszym przeciwnikiem nietylko zasadowym, ale nawet czynnym i niejednokrotnie występował przeciwko nam bądź lekkomyślnie, bądź złośliwie. Mimo to nikną nam dziś z przed myśli wspomnienia jego niefortunnych wycieczek, których z wielu powodów nie powinien był czynić, jako zbieg z naszego obozu, a natomiast staje przed nami wyraźnie zimny chłód jego późniejszych współtowarzyszów, którzy go opuścili w nieszczęściu. My byśmy nie pozwolili, ażeby nasz duchowy brat lub przyjaciel dogorywał osamotniony w spitalu bez życzliwego ratunku, my na naszem sumieniu nie mamy wyciśniętych cytryn.

### *Zjazd naukowy.*

Naprzód do kościoła, potem wybór arystokraty na prezesa, potem fabrykacya nieskończonej ilości viceprezesów i innych dygnitarzy — oto zwykle pierwszy akt *naukowych* zjazdów w Galicyi. Przedewszystkiem chodzi o to, ażeby nikogo, zwłaszcza między gośćmi, nie pominąć w honorowaniu i każdemu przyczepić jakiś tytulik. W tym celu robi się mnóstwo sekcyj, każdej z nich daje się osobnego prezesa i jego zastępcę oraz sekretarza, a jeżeli reżyserowie wezmą się rozumnie do rzeczy, to wszyscy przybyli członkowie zjazdu przez dwa lub trzy dni piastują jakąś godność, obwieszczaną światu w telegramach i artykułach.

Takim wstępem rozpoczął się również wiec techniczno-przemysłowy w Krakowie. I on, jak podobne mu zgromadzenia, nie na tem skończył i zajął się następnie obradami, ale te obrady odbywały się w niewłaściwej atmosferze pokłonów. Ludzie, których myśl tak jest opętana tytułomanią i sejmikowym blichtrem, nie mogą być jednocześnie ludźmi, którzy dbają o poważne sprawy i poważne cele. A jeżeli od jakiego zebrania oczekiwać należy demokratyzmu w organizacyi narad, to od techników i przemysłowców, którzy przecie wychodzą głównie z nizin społecznych a czczą boginie pracy i wiedzy. Zresztą przypatrzmy się: czy gdziekolwiek w Europie zjazdy naukowe mają podobny przebieg? Chociaż w opóźnieniu, trzeba jednak zdążać za rozwojem myśli, stosunków i zwyczajów.

### *Osobny typ.*

Pomimo że psychologia określiła już tyle typów złośliwego maniactwa, nie wyróżniła między nimi jednego, który niewątpliwie przedstawia osobną postać. Jest to typ prześladowczy z urodzenia. Gazety niemieckie opowiadają następujący fakt. Władza administracyjna w Poznaniu zawiadomiła kupca Kurczewskiego, że on właściwie nazywa się *Kurtze* i odtąd powinien używać tego imienia. Ponieważ zaś on oparł się temu nakazowi, gdyż jego ojciec nazywał się już Kurczewskim, proku-

rator wniósł przeciwko niemu skargę do sądu ławniczego. Skoro tu zapadł wyrok uniewinniający, prokurator odwołał się do wyższej instancyi (Strafkammer), ale znowu sprawę przegrał. Wówczas zaapelował jeszcze wyżej (do Kammergerichtu), ale i tu go odprawiono z niczem. Wypadek bardzo charakterystyczny i dający się wytłomaczyć tylko nienawiścią instynktową. Bo jakże inaczej zrozumieć zajadłość człowieka ukształconego, który przez trzy sądy wlecze skromnego kupca i we wszystkich doznaje porażki w tym jedynie celu, ażeby Kurczewskiego zmusić do nazywania się Kurtzem? Jakaż tu może być silna pobudka społeczna lub moralna, wystarczająca dla podtrzymania takiej wytrwałości? Trzeba się do tego urodzić. I kto wie, czy w zbiorowych fotografiach okazów zwyrodnienia nie znajdą się kiedyś portrety takich bohaterów. Należy im się uwaga psychologii i osobna kategorya w jej grupach.

### *Lekarze szkolni.*

Przed trzema miesiącami, zdając sprawę z broszury dr. Kopczyńskiego, omawiającej stan zdrowotny uczniów warszawskiej szkoły handlowej, zwróciliśmy uwagę na konieczność zorganizowania dozoru hygienicznego nad wychowańcami średnich zakładów naukowych i ustanowienie stałych posad lekarzy szkolnych na zupełnie innych, niż dotąd, zasadach. Sprawę tę wziął również do serca wydział hygieny wychowawczej przy Warsz. Tow. hygienicznem, który niedawno rozesłał do pism wiadomość o zwróceniu się swem do Rady Towarzystwa z prośbą o wystąpienie do władz naukowych z ważnym wnioskiem, zgodnie z którym w każdej szkole powinien być lekarz szkolny, obowiązany nietyle zajmować się leczeniem chorych uczniów i ciała pedagogicznego, ile mieć czynny nadzór hygieniczny nad całą szkołą, jako budynkiem, i nad jej uczniami. Lekarz ten, w myśl wniosku, obowiązany byłby prowadzić przynajmniej dwa razy w ciągu roku badania nad wydajnością po szczególnych uczniów pod względem umysłowym i fizycznym, a opinię swoją co do zdrowia uczniów komunikować ich rodzicom, żądając odpowiednich zabiegów w celu usunięcia wad dostrzeżonych. Powinien on być nadto *stałym członkiem rady pedagogicznej* i posiadać w niej głos na równi z innymi członkami, przyczem opinia jego winna być miarodajna przy ocenie odpowiedzialności pojedynczych uczniów wogóle lub w poszczególnych kierunkach.

Podzielając w zupełności motywy przytoczonego wniosku, zgodne zresztą w ogólnych zarysach z poglądem, wypowiedzianym przez nas niejednokrotnie, nie będziemy tu zatrzymywać się nad nimi obszerniej. Sądzimy jednak, że zanim powyższy wniosek Warsz. Tow. hygienicznego doczeka się przychylnej decyzyi władzy szkolnej, zamożniejsze przynajmniej prywatne zakłady naukowe powinny pójść za danym już przykładem i wprowadzić u siebie dozór hygieniczny na wskazanych zasadach. Dbałych o dobro młodzieży, szkół męskich i żeńskich nie brak u nas. Powinny one pod każdym względem świecić dobrym przykładem *b.*

### *Telefonistki.*

Los t. z. telefonistek, czyli panien, zajętych na stacyi łączeniem aparatów telefonicznych, nigdy nie był u nas godny zazdrości! za swą nadzwyczaj denerwującą pracę, wymagającą ciągłej czujności i naprężenia uwagi, otrzymywały one dotąd nader skromne wynagrodzenie w kwocie rb. 25 miesięcznie. Do pensyi tej dodać by można liczne, a niezbyt uprzejme epitety, których tej kategoryi pracownicom nie szczędzą nigdy niektórzy redakcyjni rycerze pióra, wyładowując w ten elegancki sposób nagromadzone zapasy złego humoru; wspomnieć też można o nieraz boleśniejszych jeszcze, a niemniej mądrych dowcipach, tworzonych naprędce pod adresem „panien z telefonu" przez wesołych współpracowników pism humorystycznych, gdy materyału zaczerpniętego z humorystyki obcej, zabraknie im czasem do zapełnienia numeru, a ulubionych „kawałów" o Żydach, niepodobna powtarzać zbyt często, by się w końcu całkiem nie przejadły.

I te jednak, mniej niż skromne warunki bytu, mają obecnie uledz zmianie — na niekorzyść telefonistek. W tych dniach, jak donosi *Gazeta Polska*, pracownicom tym zakomunikowano nowe warunki, na jakich będą mogły nadal pełnić swe obowiązki po przejściu sieci telefonów miejskich na własność nowego Towarzystwa szwedzkiego, co ma nastąpić w d. 14 listopada r. b. Zamiast dotychczasowej pensyi w kwocie rb. 25 miesięcznie, pobierać one mają nadal po kopiejek piętnaście za każdą godzinę dyżuru na stacyi. Telefonistkom starszym nad lat 29 miejsce wymówiono, a przy przyjmowaniu nowych kandydatek, któremi mogą być wyłącznie osoby, nie starsze nad lat 22, zarząd towarzystwa zastrzega sobie, że dłużej, niż 5 lat, żadnej z telefonistek nie może zapewnić pracy. Ten drugi warunek podyktować miało doświadczenie, gdyż najzdrowsza i najsprawniejsza telefonistka może najwyżej pięć lat wytrwać w tej denerwującej pracy.

Cyfry i fakty powyższe są chyba same przez się zbyt wymowne, by trzeba je było zaopatrywać w jakiekolwiek komentarze. Nie dziwimy się jednak zapewnieniu *Gazety*, że mimo wszystko nie brak kandydatek na te ciężkie i źle płatne posady. Wszak wyzysk ten odbywa się w mieście, w którem jakiś pan przedsiębiorca ma czoło ogłaszać w pismach, że za cztery godziny dziennego zajęcia zapłaci 5, wyraźnie pięć rubli *miesięcznie*. Fakt autentyczny i bynajmniej nie odosobniony. Kto nie wierzy, niech przejrzy w *Kurjerze Warsz.* z 29 września drobne ogłoszenia w rubryce „Posady i prace." *B.*

### *Nowe Towarzystwo.*

D. 14 września, w Częstochowie, odbyło się posiedzenie nowej instytucyi—miejscowego Towarzystwa lekarskiego. W Królestwie Polskiem jest ono siódmem z kolei. Ze spraw poruszonych na pierwszem zebraniu i z przemówienia prezesa, dr. Biegańskiego, można wnosić, że nowa instytucya stanie się żywotnem ogniskiem pracy lekarzy. Dr. Biegański proponuje założenie pracowni chemiczno-bakteryologicznej, która może lekarzom prowincyonalnym znacznie ułatwić oryentowanie się śród zawiłych objawów chorobowych. Zanim wszakże pracownia ta powstanie, inicyator oddaje własną na usługi Towarzystwa. Obok pracy fachowej Towarzystwo od samego początku ujawnia dążność do zachowania wśród kolegów równowagi etycznej, o czem świadczy przyjęcie rady dr. Biegańskiego: powołania superarbitra do godzenia powaśnionych.

Towarzystwa lekarskie na prowincyi mają bardzo obszerne i doniosłe zadania. Szkoda tylko, że większość z nich dotąd nie zdołała się rozwinąć należycie. Dlatego praca ich jest w znacznej części jałowa. Lekarze na prowincyi przeważnie znajdują się w warunkach bardzo niekorzystnych pod każdym względem. Nie mają szpitalów i klinik, nie mogą śledzić należycie postępów wiedzy lekarskiej, nie mają kosztownych narzędzi, które pozwalałyby pogłębiać wiedzę nabytą, robiąc samodzielne spostrzeżenia, a tem samem wyrabiać w sobie zdolności bardzo pożądane nietylko dla lekarza ale i dla ogółu chorych. Tym sposobem lekarz, z konieczności wszechstronny, zasklepia się w rutynie, pleśnieje, traci szacunek do swego powołania, a niekiedy i wiarę w siebie. Słowem, nie może być, według wyrażenia publiczności, „dobrym" lekarzem. Otóż Towarzystwa lekarskie, należycie pojmujące i spełniające swoje zadania, mogą przyjść lekarzowi prowincyonalnemu z wielką pomocą. Wzajemne komunikowanie sobie spostrzeżeń z praktyki, wskazówki i uwagi, bogata a kosztowna literatura specyalna, pracownie bakteryologiczno-chemiczne, na które może się zdobyć tylko lekarz bogaty — wszystko to skupić się powinno w Towarzystwie lekarskiem. Nadto instytucye te powinny się zająć dokładnem zbadaniem warunków zdrowotnych ludności na danem terytoryum, pracować nad wyrobieniem zaufania i popularności śród ogółu pacyentów, nad stłumieniem znachorstwa i szkodliwego wpływu felczerów, pracujących bardzo często nad zniesławieniem lekarzy. Wielu lekarzy skutkiem niekorzystnych warunków prowincyonalnych nie może się zdobyć na poważne, samodzielne prace naukowe, odczytywane na posiedzeniach Towarzystw lekarskich. Dlatego też lekarze wolą wcale nie brać udziału w tej pracy, pomimo że mogliby uprawiać tę niwę z pożytkiem w inny sposób, gdyby tylko zechcieli skorzystać z następującej rady dr. Biegańskiego: Niech każdy lekarz przedstawia ze swojej praktyki ciekawe wypadki, opisy nowych środków leczniczych z krytycznym i jasnym poglądem na rzecz itd. W ten sposób istotnie nagromadzi się materyał bardzo pożyteczny dla wiedzy i praktyki lekarskiej. *p.*

## BADANIA NAUKOWE.

### KOMARY I MALARYA

Straszna plaga trapi od niepamiętnych czasów Włochy; co rok, w porze febrycznej, około *pięciu milionów* ludzi zapada tam na malarycę, która czyni ich niezdatnymi do pracy, przyprawia o charłactwo, albo poprostu kładzie do grobu. Rząd bezskutecznie walczy z malaryą; w ostatnich czasach walka ta weszła na drogę racyonalną, dzięki badaniom nad sposobami przenoszenia się zarazków.

Mikroba, sprowadzającego malarycę, odkrył w 1880 roku francuski bakteryolog Laveran; nie jestto bynajmniej bakterya, czyli grzybek rozszczepkowy, jak np. zarazek cholery albo gruźlicy, lecz zwierzę mikroskopijne o niskiej organizacyi; pasorzyt ten przebywa we krwi chorego i rozwijając się w jej ciałkach, przybiera rozmaite formy; najprzód wygląda jak grudka o nieregularnych kształtach, potem, jak kulka z wyrostkami, w końcu staje się podobnym do ziarnka fasoli, albo półksiężyca o przytępionych rogach.

Przez długi czas nie zdawano sobie sprawy z tego jakiemi drogami zarazek dostaje się do organizmu ludzkiego; w końcu atoli przekonano się, że pośrednikami - roznosicielami malaryi są — komary i mustyki.

Na zjeździe lekarsko - przyrodniczym w Monachium, lekarz włoski, prof. Grassi, miał odczyt o pewnym gatunku komara, zwanym *Anophales claviger* i wyrzekł zdanie, że owad ten jest właściwym sprawcą klęski malarycznej.

Odczyt wywołał sensacyę, a nawet protesty ze strony rozmaitych lekarzy, wzięto się do badania komarów; w pismach angielskich, pojawiły się prośby lekarzy o nadsyłanie im komarów z okolic podzwrotnikowych celem poszukiwań naukowych, zawrzała praca w całym świe-

cie i niebawem na kwestyę udzielania malaryi i innych rodzajów febry padło pewne światło.

Pierwsze doświadczenia w tym zakresie czynił dr. Patryk Manson w Londynie; otrzymał on z Włoch kilka komarów, schwytanych w malarycznych okolicach, i—pozwolił im ukąsić własnego syna, który też niebawem zachorował na malaryę.

Ryzykowna ta próba wykazała niezbicie, że komar może zaszczepić malaryę, nawet w kraju, gdzie plaga ta nie trapi mieszkańców.

Z drugiej strony ten sam Manson, robił doświadczenia nad podzwrotnikową chorobą, zwaną filarią, od wywołującego ją robaka (*Filaria Banerofti*); objawia się ona puchnięciem nóg, nabrzmieniem naczyń limfatycznych i gruczołów, oraz wydzielaniem limfy i krwi z moczem. Pasorzyt nie dojrzewa jednak we krwi ludzkiej, lecz w żołądku pewnych komarów.

Otóż Manson sadzał mustyka na chorego filarycznego, następnie w jakichś odstępach czasu badał zawartość jego żołądka i rozwój wessanego z krwią pasorzyta.

Manson stwierdził więc dwa fakty: 1) że ukąszenie komara zaszczepia zarazek malaryi zdrowemu człowiekowi, 2) że komar, wraz z krwią, pochłania zarodki pasorzytów, które się w jego żołądku rozwijają.

Po kilku dniach komar składa jajka w jakimś stawie, albo bagnie, poczem sam zdycha i wpada do wody; tą drogą dostają się do rzek i jezior zarodki *filaryi*, i jeżeli człowiek napije się takiej wody, albo połknie jej trochę, mimowolnie, podczas kąpieli, dostaje filaryi. Choroba ta, jak wzmiankowaliśmy, panuje tylko w pewnych podzwrotnikowych okolicach, przeto badanie jej ma tylko teoryteczną doniosłość.

Dociekania Mansona zajęły ogół lekarzy i skłoniły do przedsiębrania coraz to nowych doświadczeń.

W 1898 roku lekarz angielski, Ross, zrobił ważny krok naprzód; mianowicie przenosił za pośrednictwem komarów malaryę ptasią z jednego osobnika na drugiego; pokazało się przytem, że pośredniczy tutaj pewien określony gatunek owadu; tu sam Ross obserwował zarodki malaryi ludzkiej w samym mustyku.

Należało tedy określić gatunki mustyków, zdolne do przenoszenia chorobotwórczych zarodków z malarycznych ludzi na zdrowych.

Zaczęto więc studyować anatomię, fizyologię i sposób życia rozmaitych europejskich komarów i mustyków; w pracy tej, podjętej zbiorowemi siłami wzięli udział i nasi lekarze.

Rada Tow. Hygienicznego zwróciła się do pism lekarskich z kwestyonaryuszem, zawierającym 9 pytań: 1) warunki klimatyczne danej miejscowości, ilość wód bieżących, stojących, bagien itd. 2) Czy w danej miejscowości zdarzają się przypadki malaryi, jak często, i o jakim typie? 3) W którym miesiącu są one najczęstsze? 3) W jaki sposób bywa stwierdzane rozpoznanie malaryi, jak często i o jakim typie? 5) Jakie bywa zejście przypadków malaryi? (wyleczenie, cherlactwo itd.) 6) W jakim wieku ludzie najczęściej zapadają na malaryę? 7) Zajęcie pacyentów: czy pozostają na powietrzu po zachodzie słońca, w nocy, lub przed wschodem słońca? 8) Czy w danej miejscowości bywa wiele komarów i w jakich miejscach pojawiają się one w ilościach większych? 9) Czy daje się wykazać związek między zachorowaniem na malaryę i ukąszeniem przez komara, biorąc pod uwagę, że okres malaryi trwa od 2—3 tygodni?

Wraz z odpowiedziami, pożądanem jest nadsyłanie do kancelaryi Towarzystwa preparatów z krwi chorych na malaryę oraz komarów z danej miejscowości.

W gatunku komar (Culex) należy koniecznie odróżnić samca od samicy; pierwszy żyje pokarmem roślinnym, druga zaś wysysa krew. Na małej główce samiczki gołem okiem już odróżniamy żądło, które jednak jest właściwie pochwą, okrywającą to narzędzie, samo żądło ma postać lekko zakrzywionej, wydrążonej igły.

Anopheles (widlisz podł. Now.), różni się od komarów pospolitych tem, że głaszczki u obu płci są u niego jednej długości, mniej więcej tej samej, co żądło. Prawie wszystkie rozpoznane dotąd odmiany Anophelesa mają skrzydła centkowane; z pomiędzy zaś komarów tylko *Culex annulatus* (obrączkowy) i *glaphyropterus*. Widlisz osiadając, trzyma nogi prawie prostopadle, komar zaś mocno pochyło. Te wskazówki powinny wystarczyć dla rozróżnienia mustyka Anophelesa od niewinnego komara.

Na szyi u komara, po obu stronach, znajdują się gruczołki, gdzie się wytwarza jad, który owad, kłując, wpuszcza do rany i w ten sposób sprawia bolesne nabrzmienie na skórze; wspólny kanalik od dwóch gruczołków ma ujście do górnej części przewodu pokarmowego i stąd spływa do żądła; szczegół to bardzo ważny, tłomaczy nam bowiem, jak zarodki malaryi mogą się dostać z gruczołków wraz z jadem, do krwi.

Skąd się atoli biorą owe zarazki w jadowych pęcherzykach komara? Jaki mianowicie gatunek tego owada przenosi chorobę?

Doświadczenia wykazały, że winowajcami są zarówno komary jak, mustyki (Anopheles claviger); chodzi obecnie o ściślejsze poznanie odmian, roznoszących zarazki; wogóle liczą około 50 odmian komara (Culex) z pomiędzy których najpospolitsze są: C. annulatus (obrączkowy), C. pispiens (brunatny i żółtawy 6½ mm. długi) i C. plumasus (Linneusza), mierzący od 11—13 mm.

Kwestyonaryusz wyżej wspomniany ma właśnie na celu wyjaśnienie tej kwestyi.

Zobaczymy, w jaki sposób komary przenoszą malaryę.

Nie sądźmy, że przeszczepianie odbywa się bezpośrednio, to znaczy, że komar kąsa np. chorego, potem przelatuje na zdrowego, z kolei go kłuje, przyczem wlewa mu do ranki trochę krwi zakażonej; w takim razie bowiem malarya musiałaby być chorobą zaraźliwą, tak jak tyfus, szkarlatyna, cholera albo ospa... Przeszczepianie jest sprawą bardziej skomplikowaną. Przedewszystkiem komar, napiwszy się krwi chorego na malaryę, odpoczywa przez 8—10 dni, trawiąc ją; przez ten czas pasorzyty w żołądku rozwijają się i po dwóch dniach dostrzegamy na zewnętrznej stronie żołądka komara kulki, które rosną, po upływie 6—7 dni wydają sierpowate zarodki, wreszcie pękają. Kiedy to następuje, sierpowate zarodki wędrują do kanału pokarmowego owada a stąd do gruczołków wydzielających jad. Jeżeli teraz, po 9 — albo 10dniach od ostatniego ukłucia, komar ukąsi zdrowego człowieka, to wraz z jadem wpuszcza do jego krwi zarodki malaryi, zdatne do rozwoju. Ponieważ okres wylęgania się choroby trwa od 2—3 tygodni, przeto skutki przeszczepienia ujawniają się dopiero później.

Nie zawsze atoli tak się dzieje, bo komar zarażony może przed upływem 10 dni zdechnąć na malaryę albo znieść jajka i potem zginąć. Należy też zaznaczyć, iż zarodki malaryczne do rozwoju swego w ciele owadu, wymagają temperatury przynajmniej 24° C., dlatego choroba ta panuje tylko w lecie; jesienią i na wiosnę zdarzają się tylko powrotne paroksyzmy.

Teorya nowa pozwala nam zrozumieć parę niewytłomaczonych do niedawna faktów. Wiadomo np., że malaryi można się najłatwiej nabawić w nocy, przyczem za najniebezpieczniejsze uchodzą godziny zaraz po zachodzie, albo poprzedzające wschód słońca.

Przedtem sądzono, że o tej porze podnoszą się z ziemi szkodliwe miazmaty, starano się więc spędzać całą noc w domu zamkniętym; pomimo to jednak europejczycy, zamieszkali w okolicach podzwrotnikowych, często chorowali na malaryę. Dziś wiemy, że w nocy dlatego łatwo dostać malaryi, bo o tej porze najwięcej lata komarów; kto, zwłaszcza w malarycznej okolicy, sypia pod gołem niebem, ten nie odpędza natrętnych owadów i jest narażony na niebezpieczne ukąszenia.

Jeżeli ten i ów zapada na malaryę, nie opuszczając mieszkania, to tylko dlatego, że Anopheles chętnie odwiedza siedziby ludzkie, gdzie kryje się po kątach; zaraziwszy się od jednego mieszkańca, służy za podłoże do rozwoju zarodków i przeszczepia je z kolei na zdrowego człowieka, przebywającego w tej samej chacie. Oto dlaczego malarya zagnieżdża się często po domach.

Z tego wszystkiego wynika, że kto nie chce dostać malaryi, ten powinien unikać komarów.

Że postępowanie takie jest racyonalnem, świadczą o tem doświadczenia profesorów Ambon i Law z Turynu. Spędzili oni kilka miesięcy w okolicy słynnej z malaryi, wystrzegając się jak najstaranniej ukłuć komarów i nie dostali wcale niebezpiecznej febry.

Jeszcze bardziej przekonywającemi są próby prof. Grassi.

Równina Cappaccio pozyskała smutną sławę ultra-malarycznej; przebiega przez nią linia kolejowa. Podczas pory febrycznej, od lipca do grudnia, wszyscy miejscowi urzędnicy zapadali na malaryę.

Prof. Grassi kazał pozamykać po domach drzwi i okna siatkami metalowemi o drobnych oczkach, przez które mogły się przedostawać komary, a mustyki Anapheles nie. Mieszkańcom tak zabezpieczonych siedzib zabroniono wychodzić na dwór pomiędzy zachodem a wschodem słońca; ci zaś, których zmuszały do tego obowiązki służby, zakładali gęste muślinowe zasłony na twarzach i grube rękawiczki. Ze 104 urzędników, zabezpieczonych w ten sposób od ukąszenia komarów, ani jeden nie zachorował w ciągu najgorszych miesięcy; z pośród zaś 349 osób, żyjących w zwykłych warunkach obok tamtych, 8 zaledwie uniknęło malaryi.

Skorośmy znaleźli przyczyny klęski, rodzi się kwestya, jak ją usunąć.

Można to osiągnąć w dwojaki sposób: Wiadomo, że larwy komarów zamieszkują w wodzie, ażeby zaś oddychać, wystawiają na powietrze rurki, oddechowe przyczepiając się niejako do powierzchni za pośrednictwem wieńca klapek. Jeżeli więc uniemożliwimy gąsienicy zawieszać się w powyższy sposób u powierzchni wody przez rozlanie nafty np., to niebawem musi się udusić.

Środek ten okazał się praktycznym do wytępienia komarów zwykłych; co się tyczy Anopheles (widlisza), to sprawa z nim trudniejsza; unika on sztucznych zbiorników wody, wyszukuje zaś do składania jajek miejsca zabezpieczone od deszczu i wiatru, oraz kałuży, gdzie niema ryb, które zjadają gąsienice.

Zachodzi więc potrzeba zbadania obyczajów widlisza, ażeby ułatwić jego tępienie. Anglicy wysłali do Afryki zachodniej wyprawę pod przewodnictwem Rossa, który wypowiedział wojnę tamtejszym komarom, roznosicielom strasznej febry; główną jego bronią jest, jak się zdaje, nafta; parę litrów tego płynu wystarcza, aby pokryć cienką warstewką znaczną powierzchnię wody.

Prof. Koch, który bawił niedawno w Batawii celem studyowania tamtejszej malaryi, wskazał inną drogę do zażegnania klęski. Wychodzi on z założenia, że

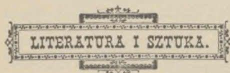
komary wtedy tylko stają się niebezpieczne, jeżeli ssą krew z chorych na malaryę. Odosabniajmy i strzeżmy od ukąszeń malarycznych, a przeszkodzimy febrze przenosić się na zdrowych. Malarya zjawia się w lecie, w końcu wiosny mamy do czynienia tylko z zadawnionymi wypadkami. Leczmy tedy chininą tych, co doznają powrotnych paroksyzmów, aby krew ich nie zawierała zarodków z początkiem cieplej pory roku, kiedy mogą się one rozwijać w ciele komara.

Jednem słowem, chcąc wytępić malaryę, nie trzeba tępić komarów, lecz przeciwnie, troszczyć się o to, żeby się nie zarażały od ludzi.

Rada prosta i, zdaje się, praktyczna, ale pytanie, czy można wyleczyć z malaryi w ciągu kilku choćby zim 5 milionów chorych we Włoszech, albo nie dopuścić do nich mustyków?

Konsekwentna i wytrwała walka z plagą może jednak przynieść poważne rezultaty; dobrze by było zmniejszyć na razie rozmiary złego, jeżeli niepodobna usunąć go odrazu.

*ww.*



## LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa: *Chwile*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Rok 1901, str. 324.

Biorąc do ręki nową książkę Elizy Orzeszkowej, doświadczam zwykle takiego wrażenia, jak gdybym rozpoczynał poufną rozmowę z kimś dobrym i rozumnym, kto ma mnie poprowadzić z sobą przez miejsca swojskie i miłe, ma roztoczyć przed oczyma krajobrazy znane a drogie, pełne woni łąk i szumu lasów nadniemeńskich, i z poezyą w duszy, z miłością w sercu — mówić będzie ładnie i zajmująco, często pięknie, a zawsze mądrze, o rzeczach prostych, naturalnych, lecz każdemu z nas dziwnie bliskich, dla każdego ciekawych, choć czasem niezwykle smutnych.

Wydany świeżo zbiór nowel pod ogólnym tytułem „Chwile," nie sprawia pod tym względem zawodu. Z kartek tej książki wygląda to samo zrównoważone, rozumne, lecz zaledwie dostrzegalną dla niewtajemniczonego oka powłoką melancholii okryte, oblicze poetki i myślicielki, które widzieliśmy już w „Dwóch biegunach" i w „Australczyku," w „Melancholikach" i w „Iskrach"; uderza umysł spokojny i jasny, doświadczeniem życia wzbogacony, serce wrażliwe i kochające, zdolne odczuć silnie cierpienie jednostki, lecz zwracające się najczęściej do spraw i bólów ogólniejszych. Ten lub ów motyw występuje w nowej książce silniej albo słabiej, niż dotąd, autorka nie obawia się potrącić parę razy o struny, których przedtem nie dotykała, ale ogólny charakter jej nowego zbioru nie uległ poważniejszej zmianie w porównaniu z książkami, wydanemi przez nią w ciągu kilku lat ostatnich.

Orzeszkowa nie szuka dziś tematów nowych, a przynajmniej nie goni za nimi. Jak wirtuoz biegły, bierze niekiedy melodyę znaną oddawna i z jej motywów wysnuwa cały poemat. Tak było kiedyś z „Pieśnią przerwaną," tak jest obecnie w „Dymach," w „Zagadce" i w noweli „Z różnych dróg." Ileż razy np. spotkaliśmy się już w beletrystyce z tą postacią szlachetnego, lecz chwiejnego nieco dziewczęcia, którego serce, zbite na krótko z właściwej drogi, powraca na nią znowu na widok bohaterskiego poświęcenia się swego pierwszego wybrańca lub egoizmu i tchórzostwa ze strony tego, który chwilowo potrafił zająć jego miejsce. Ta sama historya powtarza się w „Dymach," ale młoda para zakochanych, ginących sobie i odnajdujących się wzajemnie, schodzi tu prawie na plan dalszy, wobec mnóstwa podrzędnych niby szczegółów, które jednak w sumie składają się właśnie na dziwnie pociągającą symfonię barw i tonów, jedną z tych, za których sprawą autorka umie tak silnie przemawiać do duszy. A szczegóły to z pozoru małoznaczne. Jakaś niwka zębu końskiego, jaśniejąca zielonością majową śród krajobrazu jesiennego; jakieś echo piszczałki pastuszej, powtarzającej bez końca trzy nuty biedne, przeciągłe; rozkładanie ognisk nad Niemnem wśród ogólnego wesela licznych uczestników tej uroczystości; naszkicowana mimochodem sylwetka starego Marcina, któremu dzisiaj — „wszystko... jakiejściś... durniejsze"; kilka pieśni swojskich, śpiewanych naprzemian przez dziewczynę wiejską i panienkę ze dworu—oto wszystko niemal, co wystarcza autorce do wywołania w czytelniku nastroju, którego nie zatrze już satyryczny obrazek dwóch zniewieściałych niedołęgów, nie zasłoni dym pożaru, mającego takie pożądane następstwa dla dwudziestoletniej panny Janiny i dzielnego studenta Bronka.

Odmienny, lecz również nieobcy nam charakter, ma „Porcelanka." Z taką tłumioną, mimowoli prawie wyrywającą się z duszy powieściopisarki, skargą na życie, zabijające bezlitośnie szczęście subtelniejszych jednostek i śmiejące się szyderczo z ideałów najświętszych, spotkaliśmy się już kilkakrotnie w „Melancholikach." Tu z nową siłą narzuca się ona autorce, zadającej czytelnikowi (podobnie jak potem w „Zagadce") jedno z tych bolesnych pytań, które długo jeszcze pozostać muszą bez odpowiedzi. Szlachetna marzycielka, Walentyna Kalińska, niemogąca żyć bez słońca, jak ów kwiat biały, z którym ją autorka porównywa, doznała bolesnego rozczarowania w małżeństwie. Ale boleśniejszem jeszcze jest to, które ją przekonało niebawem, że i z Bronisławem Graniczem nie mogą razem „szukać na zegarze świata tej niewidzialnej, tej upragnionej godziny, której może niema na nim wcale, aby nie znaleźć najgminniejszej," że nie mogą budować razem drabiny, która do gwiazd prowadzi, aby nie stoczyć się w pospolite błoto. Podobnie jak biały kwiat porcelanki, który w sztucznem świetle rozwinął się i zwiądł przedwcześnie, wzięła i ona zwyczajną lampę za słońce, a taki zawód sprawia zawsze ból niewymowny, tem większy, im mniej spodziewany.

W niejakiem pokrewieństwie duchowem z bohaterką „Porcelanki" pozostaje pani Celina z „Kiedy u nas o zmroku," przypominająca skądinąd niektóre postacie „Iskier." Do rozgałęzionej rodziny „melancholików" zaliczyłbym znów nieszczęśliwą, choć sławną i bogatą śpiewaczkę z „Momentu," chociaż nowela ta ma właściwie na celu wykazanie potężnego wpływu sztuki na ukojenie bólów, cierpień, zawiści i nienawiści ludzkich. Niezależnie od tego dała ona autorce sposobność skreślenia prześlicznej rozmowy między bohaterką utworu a człowiekiem, który był największą radością i największym bólem jej życia, tylko że rozmowa ta odbywa się, niestety, jedynie w sennem marzeniu znakomitej śpiewaczki...

Postać zawiedzionej, niezrozumianej kobiety powtarza się w „Chwilach" kilkakrotnie, od pierwszego w życiu zawodu, uderzającego, jak piorun, w serce dziewczęcia, które dotąd, niby kwiat do słońca, śmiało się radośnie do życia, kochało wszystkich i wszystko („Zagadka"), aż do owej nieszczęśliwej żony, kochanki i matki („Z różnych dróg"), która ze szpitalnego łoża, za pośrednictwem siostry miłosierdzia, poleca przed śmiercią opiece porzuconego przed paru laty męża córeczkę swoją, owoc miłości, nazwanej przez świat występną... Cecha wspólna wszystkich tych utworów polega na tem, że istotnie odtwarzają one po jednej lub najwyżej po dwie tylko *chwile* z życia swych bohaterek, pozostawiając resztę, na którą składa się nieraz życie ich całe, domyślności i przenikliwości czytelników.

Odrębny zupełnie charakter noszą w tym zbiorze trzy utwory: „Co mówił stary klon?" „Wśród kwiatów" i „Wesele Wiesiołka." W pierwszym z nich autorka stara się pod przenośnią wyrazić raz jeszcze znaną myśl, że najlepszą pocieszycielką w strapieniach ludzkich—pozostanie zawsze przyroda. Na uwagę zasługuje tu zwłaszcza ustęp o owym mężu, „któremu dom ojczysty runął." „Wśród kwiatów"—to wprost silnie odczuty obraz ukochanej przyrody stron rodzinnych, pozbawiony nawet całkiem jakiegokolwiek wątku powieściowego. „Wesele Wiesiołka" wreszcie — to prześliczny obrazek fantastyczny na tle życia roślin, ptaków, motyli i wietrzyków, łączący je wszystkie w jednem poetycznem uosobieniu. Niektóre ustępy tej pięknej fantazyi, jak np. obraz łąki o wschodzie słońca w pogodny poranek czerwcowy, możnaby zaliczyć śmiało do pereł naszej poezyi opisowej, a niespodziewane i takie smutne zakończenie utworu, z ową kosą śmierci, niweczącą brutalnie najpiękniejsze marzenia kwiatów i motyli, po za swą głębszą myślą filozoficzną, wywiera wprost z punktu widzenia artystycznego wrażenie silne.

*Władysław Bukowiński.*

## NA MARGINESIE.

— Na początku roku bieżącego zdarzyła się w Rzymie romantyczna historya. Pewien ksiądz katolicki namówił bogatą angielkę do przejścia na katolicyzm, następnie do wstąpienia do klasztoru benedyktynek, a ostatecznie sam zrzucił suknie kapłańskie, pannę z klasztoru wydobył i ożenił się z nią.

Czyn ten, ziemskich rozkoszy spragnionej pary, miał smutne następstwa nie dla niej, lecz dla benedyktynek, które za przewinienie jednej niewiernej siostrzyczki zostały wszystkie ukarane utratą swego schronienia. Jak się to stało, opowiada w *Timesie* sama przełożona klasztoru, która nie znalazłszy opieki i sprawiedliwości u właściwej władzy, sprawę swoją wytoczyła przed sąd opinii publicznej.

Do Rzymu przed laty przeniosły się one benedyktynki z Anglii i tu pod opieką wysoko w Watykanie położonych osób założyły klasztor, który wkrótce tak świetnie się rozwinął, że trzeba było dom powiększyć. Weszły przeto w układy z augustyanami irlandzkimi w celu nabycia od nich gmachu klasztornego, a że na interesach, nie bardzo się znały, więc niebacznie przyjęły na siebie bardzo ciężkie zobowiązania. Przez sześć lat mianowicie miały płacić procent od sumy kupna, a po sześciu latach złożyć w całości samą sumę, tj. 600,000 lirów. Wszystkie mniszki oddały już swój majątek, pozostała tylko jedna bardzo bogata, która czekała pełnoletności, ażeby zrobić to samo. „Niestety — powiada przełożona benedyktynek — nim to nastąpiło, siostra, od której całą nasza przyszłość zależała, uciekła z klasztoru." W sprawę tej ucieczki uwikłany był drugi ksiądz, który zakochanej parze pomagał, a choć otwarcie do swego w niej udziału się przyznawał, inkwizycya, przed którą z porady swej zwierzchności kościelnej benedyktynki rzecz całą wytoczyły, postanowiła na modłę średniowieczną „niewinnych ukarać za winnych, aby w ten sposób honor ko-

ściola uratować.“ Niewinne poddały się wyrokowi — i tu zaczęła się ich niedola. Naprzód zabrakło im pieniędzy. Usiłowania pewnego kanadyjskiego monsignora, ażeby potrzebną kwotę zebrać drogą subskrypcyi, rozbiły się o nieżyczliwość władzy duchownej. Zakonnicom groziła nędza: dochodziło do tego, że nie było za co kupić pożywienia, a nadaremnie biedaczki szukały pomocy u swoich przełożonych. W trakcie tego główni ich wierzyciele otrzymali pozwolenie od kongregacyi dei Vescovie Regolari o wypłatę zaległych procentów zwrócić się na drogę sądów świeckich. Zazwyczaj Watykan sprzeciwia się bardzo energicznie mieszaniu się rządu i sądów włoskich do spraw w obrębie kościoła i zgromadzeń duchownych zachodzących, w tym razie jednak od zwyczaju odstąpiono. Zokonnice wygrały proces w pierwszej instancyi — przegrały w drugiej. Próbowały układów, których z powodu świadomie przez władzę duchowną stawianych im przeszkód, do skutku doprowadzić nie mogły. Tych, którzy się za niemi wstawiali, odsyłano bez wysłuchania; którzy pomódz chcieli, odstraszano groźbami. W końcu augustyanie kazali im klasztor opuścić, a kiedy termin upłynął — dokonali opróżnienia gmachu przez policyę, która, jak mówi przełożona, „więcej nad tem cierpiała, niż one same.“ Niebywały to wypadek, takie wywłaszczenie zakonnic przez mnichów. Było to widowisko, jakiego nie pamiętają rzymskie kroniki dawniejszych czasów. (*Frankf. Ztng.*).

— W Szwecyi przechowało się niewiele zabytków ze starożytnego świata zwierząt ssących, a i to, co jest, znajduje się tylko w torfowiskach na południu kraju. Żubr odgrywał, zdaje się, ważną rolę w życiu człowieka z epoki kamiennej. Są dane, pochodzące z XI w., że w lasach ówczesnych pasły się liczne jego stada; można przypuszczać, że istniał tu jeszcze do 1600 r. kot dziki i tur względnie dość rzadkie, ale dzików znajdowało się mnóstwo. Natomiast istnienie niedźwiedzia jaskiniowego nie zostało w zupełności udowodnione. Bobry żyły w całej Szwecyi aż do początku XIX stulecia. Lecz nadewszystko kraj obfitował w różnego rodzaju renifery. Szczątki odmian bardziej starożytnych odnajdują w głębokich pokładach torfowych. Przypuszczają jednak, że odmiana żyjąca obecnie na północy Szwecyi nie od nich pochodzi, lecz od reniferów z zatoki Botnickiej, gdyż na całej przestrzeni kraju od południa do północy nie znaleziono żadnych po nich śladów: Wszystkie zwierzęta, zamieszkujące niegdyś Szwecyę południową, pochodziły, jak Sven Nilsson przypuszcza, z Niemiec, z tych czasów, kiedy to Szwecya, Dania i Germania stanowiły jedną całość. (*Naturw. Wochenschr.*).

## O prawdę.

Szanowny Panie Redaktorze.

W nr. 39 *Prawdy*, w artykule p. t. „Wystawa fotograficzna,“ umieszczoną jest wiadomość, jakoby pracownię Roentgena na wystawie urządził dr. Bychowski i „prześwietlał w niej amatorów za opłatą 20 kop.“ Referent uważa równocześnie za niewłaściwe pobieranie tak wysokiej opłaty za 5 minutową demonstracyę.

W interesie prawdy upraszam Szanownego Redaktora o umieszczenie następującego wyjaśnienia, którego można było uniknąć, gdyby referent „wu“ był staranniej odczytał odpowiednie napisy, umieszczone nad pracownią Roentgena:

1) Pracownia urządzoną została staraniem dr. C. Barszczewskiego (nie zaś dr. Bychowskiego) na prośbę komitetu zupełnie *bezinteresownie*; 2) opłata zaś ustanowioną została przez komitet wystawy i wpłynie całkowicie do kasy Towarzystwa dobroczynności; wysokość zaś jej została unormowaną niemożnością demonstrowania wielkiej ilości osób naraz, z użyciem przyrządów, kosztami prądu itd.

Przy tej sposobności pozwalam sobie zaznaczyć, że studenci, obsługujący przyrząd, czynią to przez pięć godzin dziennie bezinteresownie, przyrządy zaś instalacyi elektrycznej zostały również bezinteresownie dostarczone i zmontowane przez warszawską filię firmy „Siemens i Halske “

Racz przyjąć Szanowny Redaktorze wyrazy szacunku, z jakim pozostaję

Prezydujący Komitetu Wyst. fotogr.
*W. Hulewicz.*

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** Wyszedł okólnik ministra spraw wewnętrznych o konserwowaniu zabytków przeszłości i pomników. Wszelkie szczątki starożytnych zamków, fortec i innych pamiątek mają zostawać pod dozorem miejscowych władz policyjnych i naczelników gubernij.

— Ministeryum spraw wewnętrznych, po porozumieniu się z ministeryami sprawiedliwości i skarbu, wyznaczyło dzień 14 października jako termin wprowadzenia w gub. Mińskiej, Mohylewskiej i Witebskiej przepisów z d. 12 (24) lipca 1889 r. o reorganizacyi instytucyj włościańskich i sądowych.

— Marszałkiem krajowym w Galicyi mianowany został Andrzej hr. Potocki; wiceprezesem krajowej rady szkolnej radca dworu w ministeryum oświaty, dr. Edwin Płażak, dawny starosta w Złoczowie.

— W celu utrzymania porządku państwowego i ogólnego bezpieczeństwa, p.o. naczelnika m. Odesy wydał rozporządzenie, zabraniające pod karą 500 rb. lub 3-miesięcznego aresztu, bezpłatnego rozdawania na ulicach, placach i miejscach publicznych wszelkiego rodzaju ogłoszeń, książek, broszur itp.

**Szkoły.** Minister oświaty zabronił nauczania buchalteryi za pomocą korespondencyi, rozpowszechnionego po większych miastach.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, ażeby we wszystkich okręgach naukowych przedsięwzięto starania w celu szybkiego obsadzenia wakujących posad nauczycieli w średnich zakładach naukowych. W razie braku odpowiednich kandydatów na miejscu, ministeryum ma ich dostarczyć.

— W Kownie otwartą została rządowa szkoła handlowa.

— Zatwierdzono ustawę 7-klasowej szkoły handlowej w Radomiu.

— Przy ministeryum oświaty utworzoną będzie komisya, która zajmie się między innemi reformą szkół miejskich; klasy niższe tych szkół mają być zrównoważone z klasami gimnazyów, wyższe zaś dawać mają wykształcenie profesyjne.

— Władze naukowe zwróciły uwagę, że do szkół wiejskich uczęszcza zbyt mała liczba dziewcząt. Obecnie ministeryum oświaty poleciło zebrać w tej sprawie szczegółowe dane, wraz z objaśnieniem przyczyn tego objawu.

**Z uniwersytetu.** Fakultet medyczny uniwersytetu noworosyjskiego w Petersburgu orzekł, że dla studentów medyków znajomość języka greckiego nie jest potrzebną, co się zaś tyczy łaciny, to studenci wydziału medycznego powinni ją posiadać w zakresie czterech klas gimnazyalnych.

— *Nowosti* donoszą, że we wszystkich uniwersytetach rosyjskich, niezależnie od istniejącej w Petersburgu, mają być urządzone katedry prawa finlandzkiego.

— Ogólna liczba słuchaczów na wszystkich wydziałach uniwersytetu warszawskiego wynosi w r. b. 1,255, o 474 więcej, niż w roku zeszłym.

**Turniej szachowy** odbywa się obecnie w Warszawie. Znamienną jego cechą jest to, że prawie wszyscy zapaśnicy występują pod maskami pseudonymów i liter początkowych. Jest to objaw gdzieindziej nieznany a łączący się z naszą ogólną niechęcią do jawności.

**Kasy szkolne.** Ministeryum oświaty zwróciło się do dyrektorów szkół średnich z propozycyą zakładania uczniowskich kas oszczędności.

**Zdrowie publiczne.** Główny zarząd dróg żelaznych ogłosił czasowe przepisy w sprawie przewozu kolejami chorych umysłowo, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta i chorych zaraźliwych (trędowatych. Według tych przepisów, osoba lub instytucya, mająca zamiar przewieźć chorego wyżej wspomnianej kategoryi, obowiązana jest zawiadomić zarząd kolei lub zawiadowcę stacyi na 48 godzin przedtem i przedstawić szczegółowe świadectwo lekarza. Pokąsani przez wściekłe zwierzęta do upływu dwóch tygodni od chwili wypadku mogą być przewożeni pod opieką jednego dozorcy, po upływie zaś dwóch tygodni pod okiem dwóch przewodników. Wszyscy chorzy wyżej wspomniani przewożeni być mają w przedziałach oddzielnych.

— W Neapolu, wśród robotników portowych wybuchła dżuma. Zachorowało kilkadziesiąt osób. Zaraza szerzy się, wbrew zapewnieniom urzędowym że będzie wkrótce stłumioną. W Rio Janeiro również pojawienie się jej stwierdzono urzędowo.

**Prasa.** Minister spraw wewnętrznych zakazał sprzedaży pojedynczych numerow gazety *Russkoje Słowo* przez jeden tydzień, a *Petersb. Gazety* przez miesiąc. Nadto, na mocy § 131 ustawy prasowej, uznał za niezbędne zamknąć wydawnictwo gazety *Niedziela*.

— P o. generał - gubernatora finlandzkiego, na mocy przedstawienia komisyi prasowej polecił zamknąć zupełnie wychodzące w Finlandyi w języku szwedzkim następujące gazety: *Dagligt Allehanda*, *Borga Nya Tidning*, *Jakobstads Tidning*, w języku fińskim: *Saro Karjala*, *Savantindo* i *Ynaksl*. Oprócz tego zawieszono na trzy miesiące gazety: *Bjorneborgs Tidning* i *Kaleada*, oraz udzielono ostrzeżenie 4 gazetom: *Abo Unterwälelser*, *Uusi suo metar*, *Viipuri* i *Tromies*.

— Zapowiedziano we Lwowie od października wydawnictwo *Prądu*, zostało odwołane.

**Ze sztuki.** Powstał zamiar założenia szkoły sztuk pięknych w Warszawie, Kijowie i Tyflisie z kursem ogólnokształcącym średnich zakładów naukowych. Szkoły te pozostawałyby pod nadzorem Cesarskiej Akademii sztuk pięknych; w Kijowie i Tyflisie będą otrzymywać zapomogi, podczas gdy warszawska ma powstać z inicyatywy i środków miejscowych.

**Dla kobiet.** Sprawa handlowego kształcenia kobiet w szkołach niższych ma być poruszoną na zjeździe specyalistów w styczniu 1902 r.

**Wystawy.** Powstał projekt urządzenia w Wiedniu międzynarodowej wystawy wynalazków i nowości; ma być ona otwarta 15 maja 1903 r. i trwać pięć miesięcy.

**Zjazdy.** W Petersburgu zwołany będzie wkrótce zjazd przedstawicieli przemysłu wielkiego.

— Na kongresie demokratów społecznych w Lubece wyrażono niezadowolenie z powodu zerwania stosunków z demokratami polskimi. Poseł Ledebour podał wniosek, wyrażający nadzieję, że stosunki te będą na nowo zawiązane. Na żądanie agitatorki Luksemburg (Żydówki polskiej), zjazd przeszedł nad tym wnioskiem do porządku dziennego. (*Gaz. Pols.*).

**Dar.** Karol Jacobson, piwowar z Kopenhagi, przeznaczył $^{2}/_{3}$ dochodu z browaru Nykarlsberg jako stały fundusz popierania celów artystycznych narodowych. W przyszłości cały dochód z browaru wynoszący 400,000 koron rocznie, ma być użyty na cel powyższy i nosić nazwę funduszu Nykalsberga.

**Przemysł i handel.** Postanowiono do ustawy towarzystw akcyjnych wprowadzić paragraf, obowiązujący do składania w Banku państwa kaucyi, zabezpieczającej przypuszczalne pretensye robotników. Prawo to zastosowano już zostało do nowo powstałego bryszewskiego Towarzystwa węglowo przemysłowego.

— Naczelnik Petersburga ogłosił postanowienie obowiązujące handlujących w dni świąteczne. Wszystkie zakłady kupieckie oraz osoby zajmujące się handlem przenośnym, mogą sprzedawać towary tylko od godz. 1 do 5 po południu.

— Zatwierdzono ustawy Towarzystw pożyczkowo oszczędnościowych w Chełmie, gub. Lubelskiej, z wkładem 50-rublowym i w Nasielsku, gub. Warszawskiej, z 25-rublowym.

— *Gazeta Polska* donosi, iż w Brześciu Litewskim, zorganizował się syndykat handlarzy bydłem. Zakupuje on woły w kraju południowo - zachodnim po dość niskich cenach i kieruje je na Brześć. Gdy dowóz bydła miejscowego na targi w Warszawie i Petersburgu jest znaczny, syndykat wstrzymuje dostawę z Brześcia do czasu zmniejszenia się dowozu by w ten sposób uzyskać wyższe ceny; niekiedy znów używa innej sztuczki. Na targu warszawskim zmuszony jest prowadzić obecnie ryzy-

kowną walkę, ponieważ w ostatnich latach tutejsi rolnicy energicznie zajęli się hodowlą opasów i dostawa bydła miejscowego na targ warszawski i inne zwiększa się corocznie. Zauważono więc kilkakrotnie, że syndykat w takich wypadkach wysyła na targ warszawski i łódzki znaczne partye i o-[illegible]en usiłuje dowieść rolnikom tutejszym, że hodowla bydła opasowego nie opłaca się.

— Wywóz z Rosyi za pierwsze półrocze r. b. wyniósł 318,902,000 rb (w r. 1900 — 285,396,000 rb.), przywóz — 265,845,000 rb. (w r. 1900 — 280,346,000 rb.), przewyżka więc wywozu nad przywozem wynosi 53,057,000 rb.

**Rolnictwo.** Towarzystwo kredytowe ziemskie ogłasza niezwykle dużą liczbę majątków, naznaczonych na sprzedaż w lutym 1902 roku za zaległe raty: w gubernii Kaliskiej 119 majątków, w Piotrkowskiej 101, Płockiej 100, Kieleckiej 64, Lubelskiej 56. Cena szacunkowa niektórych dóbr sięga 200,000 rb

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Trzechletniemu prenumeratorowi.* Akademia Umiejętności w Krakowie ustaliła, o ile to jest możliwem, prawidła pisowni języka polskiego w broszurze wydanej kilka lat temu. Broszurkę tę znajdzie Sz. Pan w każdej księgarni.

*Emies.* Wiersz Pański nie nadaje się do druku. Poeta powinien znać dobrze przynajmniej gramatykę języka, w którym rymy swoje chce układać i mieć trochę logicznych myśli w głowie.

*Jednemu z księgarzy warszawskich.* Zdaniem naszem projekt ten jest obecnie niewykonalny dla czysto technicznych od nas niezależnych trudności. Rb. 3 do zwrotu.



# OGŁOSZENIA.




Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 21 Сентября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.